Nr. 39 Poznań, dnia 27 Września 1908 r. Rok XII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 Telefon Nr. 97. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

NIENASYCENI.

Jeżeli kiedy, to obecnie hakatyści mają wszelkie powody do zadowolenia z polityki antypolskiej rządu pruskiego. Wszakżeż sejm pruski uchwalił bezprzykładną w świecie cywilizowanym ustawę o wywłaszczeniu, wszakżeż nawet parlament okroił prawa języka polskiego na zebraniach publicznych, ten sam parlament, który w przeciwieństwie do junkierskiego sejmu, mianuje się przedstawicielstwem narodu niemieckiego i faktycznie wychodzi z bardzo demokratycznego systemu wyborczego.

To też nie tai obecnie prasa hakatystyczna wcale swego wielkiego zadowolenia z tego, co przez swą nieustanną agitacyę osiągnęła. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że hakatyści postanowili zrobić pauzę w swej hecy antypolskiej lub odczekać przynajmniej skutków tych ustaw, jakie od rządu i sejmów bądź wytargowali, bądź wystraszyli.

Główny zarząd towarzystwa trzech liter zastanawiał się ostatnio ponownie nad losem uciemiężonej ciężko przez niegodziwych Polaków niemczyzny i doszedł do przekonania, że obecne podstawy prawne nie wystarczają, by ziemską własność niemiecką zapewnić przed zachłannością Polaków, nie mówiąc już wcale o pomnożeniu niemieckiego stanu posiadania. Polacy wywłaszczeni z jednego majątku mogą bowiem spokojnie zakupić inny od Niemca, a dotychczasowe utrudnienia parcelacyi nie są dostatecznie ostre, by uniemożliwiły Polakom rozsprzedawanie większych majątków pomiędzy adjacentów. Potrzeba zatem koniecznie ustawy, któraby uzależniała każdą parcelacyę majątku ziemskiego położonego w prowincyach objętych ustawą kolonizacyjną, od specyalnego zezwolenia władz państwowych, przyczem oczywiście należałoby popierać każdą parcelacyę, obliczoną na powiększenie niemieckiego stanu posiadania. Koronę zaś całej polityki agrarnej w dzielnicach polskich stanowiłoby przyznanie państwu prawa interwencyi przy każdej sprzedaży jakiej bądź posiadłości ziemskiej.

A więc życzą sobie panowie hakatyści, by Polakom tylko wtedy wolno było parcelować, jeżeli parcele obowiążą się sprzedać Niemcom, cały handel ziemią zaś ma się odbywać w ten sposób, żeby Polacy sprzedawali swe włości wyłącznie Niemcom, nie nabywali zaś ziemi ani od rodaków, ani od swych współobywateli niemieckich.

Życzenia te są wprost potworne i świadczą o zupełnem pomieszaniu pojęć u hakatystów. Panowie ci snać pojęcia nie mają o tem, że konstytucya zawiera artykuł gwarantujący obywatelom równość przed prawem. Przypominamy im więc o owym artykule tylekroć przez nich gwałconym i proponujemy im stawienie wniosku o skreślenie tegoż artykułu. Również należałoby skreślić gwarancye zapewniające obywatelom państwa swobodny wybór miejsca zamieszkania i prawo nabywania własności.

Wszędzie na świecie możnaby sobie spokojnie kpić z takich życzeń i rezolucyj. Nie ma bowiem kraju na całej kuli ziemskiej, gdzieby się należało obawiać wprowadzenia w życie pomysłów podobnie dzikich, dzikich w dosłownem tego słowa znaczeniu.

Inaczej w bogobojnych Prusach. W kraju, gdzie istnieje wywłaszczenie z politycznych względów, gdzie można suum cuique odbierać, gdzie obłęd nacyonalistyczny nie znajduje żadnej skutecznej tamy, gdzie hasło: siła przed prawem wyznawane bywa jako dogmat polityczny — cóż w takim kraju niemożliwego? Wszystkiego się w Prusach obawiać należy. I jeżeli nie można bagatelizować podszczuwań najnędzniejszego świstka hakatystycznego, jakiegoś Kreisblattu z pod ciemnej gwiazdy, jakże być obojętnym na uchwały głównego zarządu Ostmarkenferajnu?!

Czy projekty hakatystów staną się ustawą, tego przesądzać nie będziemy. Dotychczasowe doświadczenia jednak nie wróżą nic dobrego. Hakatyści bowiem potrafią świetnie realizować swe plany...

Mimo wszelkich antypolskich praw wyjątkowych, wciąż wołają o nowe.

Nienasyceni.

Jubileusz arcybiskupa warszawskiego ks. Wincentego Popiela.



Stanisław Lentz.

Arcybiskup warszawski ks. Winc. Chościak-Popiel.

Jubileusz arcybiskupa warszawskiego ks. Wincentego Chościak Popiela, którego termin przypadł na dzień 20-go b. m., był nietylko uroczystością kościelną. Podzielało go blisko 10 milionów katolików archidyecezyi, czyli całego Królestwa. Zanim przed ćwierć wiekiem wstąpił ksiądz Popiel na archidyecezyę warszawską, był przez długi szereg lat biskupem kujawsko - kaliskim we Włocławku. Na obydwóch tych stanowiskach przeszedł przez najcięższe czasy, przez jakie kapłan Polak i zwierzchnik na wysokiem i wybitnem siedzący miejscu, mógł przejść. Były to czasy ucisku i prześladowania Kościoła, a z nim razem narodu, który się z tym Kościołem zespolił i złączył. Epoka popowstaniowa, z Bergiem i Kotzebuem na czele kraju, z całą armią pomniejszych kacyków, rozsianych po całym kraju, towarzyszyła ks. Popielowi jako biskupowi włocławskiemu. Epoka Hurki, Czertkowa, Apuchtinów, różnych gnębicieli Unitów, a z nimi i Kościoła, panoszenie się „religii państwowej“ nad wszystkiemi „obcemi wyznaniami,“ prawa wyjątkowe, będące zwykłą niską szykaną dla duchowieństwa, zaglądanie różnych **diejateli** w sprawy czysto-kościelne, seminaryjskie i jak najbardziej wewnętrzne — towarzyszyły mu w jego działalności na stolicy arcybiskupiej w Warszawie. Łatwo zrozumieć, jak ciężkiem w tych czasach było położenie pierwszej w kraju osoby duchownej, arcybiskupa i Polaka zarazem. Łatwo sobie wyobrazić, przez jakie krzyże, przez jakie walki z otwartym i ukrytym wrogiem, działającym przez impozycyę siły i przez różne środki tajne, knujące, denuncyatorskie, podstępne — **przejść** musiał człowiek ‚zespalający **w sobie** infułę arcybiskupią i uczucia polskie.

Krzyżowa była ta droga.

Ks. arcybiskup Popiel umiał w niej nietylko wytrwać, ale doczekał się tryumfu.

I dziś, w roku 25-letniego jubileuszu arcybiskupa warszawskiego, sędziwy kapłan polski ujrzał się w położeniu, bądź co bądź, wiele lepszem, aniżeli przez całe swe długoletnie życie kapłańskie. Jedyna prawdziwa „wolność,“ jaka na Królestwo spłynęła, mianowicie wolność wyznania, udzielona **dobrowolnym** manifestem carskim w kwietniu 1905 r., trwa dotąd w swej sile. Utrudniają tę wolność różne powrotne fale. Ale jej na prawdę nie obaliły. Zasadniczo ucisk Kościoła złagodniał. Zasadniczo nikt kapłanowi katolickiemu za zbrodnię poczytać nie może, jeśli ochrzci, wyspowiada lub pogrzebie Unitę. Duchowieństwo nasze wyzwoliło się z pod szykanujących praw wyjątkowych. Szkoły katolickie, wydawnictwa katolickie i związki mogą się zakładać i działać otwarcie, pod nazwą i sztandarem katolicyzmu.

Jest to wielke zwycięstwo, a zarazem pociecha wielka dla głowy Kościoła katolickiego w katolickiem Królestwie Polskiem.

I tę radość względną jeszcze, nie zupełną, nie popartą innemi koniecznemi wolnościami, dzieli 10 milionów katolików w kraju ze swym zwierzchnikiem duchownym.

Dlatego to właśnie zaznaczyć wolno, że 25-letni jubileusz arcybiskupa Wincentego Chościak - Popiela ma szersze i głębsze znaczenie i nie ogranicza się tylko do święta i uroczystości samego duchowieństwa.

Uroczystość odbyła się wspaniale. Oprócz jubilata uczestniczyli w niej aż czterej infułaci: metropolita - nominat mohylowski (z siedzibą w Petersburgu) ks. Wnukowski, do niedawna biskup płocki; biskup - nominat płocki, ks. Nowowiejski; biskup kujawsko-kaliski ks. Zdzitowiecki z Włocławka i biskup sufragan warszawski ks. Ruszkiewicz. Pozatem zgromadziło się w katedrze św. Jana liczne duchowieństwo i tłum świeckich nabożnych. Piękną, prostą, a gorącą mowę wygłosił ks. kanonik Zygmunt Chełmicki.

Następnie odbyło się przyjęcie w sali tronowej pałacu arcybiskupiego przy ulicy Miodowej. Przemawiali: ks. biskup Wnukowski, ks. biskup Zdzitowiecki, ks. biskup Ruszkiewicz, oraz dr. Baranowski i mecenas Suligowski.

„D. P.“

Wszystko dopiero przez czyn staje się prawdą; bez czynu myśl każda, wiedza każda jest czczością. Bez czynu miłość chrześcijańska jest kłamstwem, i wiara bez uczynków nie zbawi. Czynem też tylko pokazujesz, że kochasz rzeczywiście kraj swój. Kto mu skąpi ofiar, kto nic dla niego nie czyni, kto chce, by się tam dobrze działo bez jego dołożenia się, ten nie ma i za grosz miłości kraju swego. Wszystkie cnoty towarzyskie, wszystkie nauki i zdolności ludzkie, czynem się objawiają i stają się prawdą, bez czynu martwe są i bez znaczenia. Są, jakby ich nie było.

Karol Libelt.

* * *

Mądry przyjmuje radę, głupi nią pogardza i po tem poznać go można.

Klementyna Hoffmanowa.



Roman Szymański.

Napisał
Józef Siemianowski.

(Ciąg dalszy).

Co Roman Szymański sądził o polityce Traktatów wiedeńskich i o polityce, polegającej na obietnicach monarchów pruskich, to starałem się wykazać w pierwszym rozdziale mej pracy na podstawie tego, co on sam w 1870 roku powiedział w swej broszurze „O siłach moralnych w ustroju społecznym.“ Późniejsze i dzisiejsze wypadki polityczne oraz siła żywych stósunków przyznają mu zupełną słuszność. „Nie **pergaminy,** które tną mole, nie **przysięgi,** które potok dziejów łamie i kruszy, dają rękojmię życiu społecznemu, ale **prawo bytu...**“ Tak jest. Przeszłość i chwila obecna wykazują nam to na Ks. Poznańskiem i Pr. Zachodnich, a ostatnie lata na **G. Śląsku.** Prawno-polityczne położenie G. Śląska jest inne aniżeli Ks. Poznańskiego, bo Śląsk nie może się powoływać ani na Traktaty wiedeńskie, ani na obietnice monarchów pruskich, a jednak polskim jest i pozostanie nim w miarę swej pracy i zachodów, w miarę swej inteligencyi politycznej i rzetelnego ożywiania ducha narodowego, które dają mu prawo do życia i istnienia, **prawo bytu polskiego.** I prawo bytu może być ograniczone ustawami wyjątkowemi, środkami administracyjnemi, funduszami milionowemi. I faktycznie tak się działo i dzieje. Ale mimo to żłobi ono sobie swoje koryto, idzie nieprzepartą, elementarną siłą naprzód i jak z Traktatu wiedeńskiego jeden paragraf po drugim wyrzucano, tak dziś patrzymy na to zjawisko, że cały żywioł polski na całym obszarze od Pucka do Mysłowic rwie się do obrony narodowej i publicznie manifestuje fakt swego życia, fakt istnienia i rozwoju narodowego. A rząd pruski mimo potężnych swych środków i funduszów, jakiemi rozporządza, stoi często w obec tego bezradny, bo siły tego życia polskiego, manifestującego się tak, jak dziś, żadna moc ludzka nie będzie mogła już zatamować, ani przedzierać i wyrzucać jej, jak przedzierano i wyrzucano z Traktatu wiedeńskiego jeden paragraf po drugim. Tak moc i siła w narodzie, dające mu **prawo bytu,** dają gwarancyą jego życiu społecznemu i narodowemu.

Szymański był umysłem krytycznie i trzeźwo patrzącym na sprawy publiczne. Tanich frazesów patryotycznych nie lubił, nie cierpiał, zwalczał je, wprost tępił, uważając, że frazes prowadzić może do wystudzenia i wyjałowienia umysłów, ale nie do rzetelnego ożywienia serca i ducha. Patrząc realnie na stósunki, stanął na gruncie konstytucyi pruskiej i przynależności do państwa pruskiego z wszystkiemi z niej wynikającemi obowiązkami dla nas względem tegoż państwa. To stanowisko uważał za jedynie racyonalne, jeżeli w państwie, do którego politycznie przykuci zostaliśmy, nie mamy zatracić prawnej podstawy do obrony bytu naszego. Uważał też, że ta przynależność i wynikające z niej obowiązki nasze względem państwa pruskiego, zawarunkowane są tem, że czy chcemy, czy nie chcemy, musimy je uznawać i znosić. Wszelkie więc objawy demonstracyjne w tym kierunku byłyby raczej błędem politycznym, ale niczego nam nie zabezpieczały. Pociągał atoli zawsze ściśle granicę pomiędzy tem, co jako obywatele monarchii pruskiej winniśmy państwu, a tem, co jako Polacy winniśmy sobie i naszej sprawie narodowej. W tym jego — że się tak wyrażę — „realiźmie“ nie było ani lojalizmu niepotrzebnego, ani bizantynizmu, ani wreszcie rojalizmu przesadnego. Podnosił hasło pracy publicznej na gruncie ściśle legalnym, ale sztandar honoru i godności narodowej podtrzymywał zawsze wysoko i bronił go przed splamieniem. Był takim za czasów polityki traktatowej, był takim za czasów polityki ugodowej i takim pozostał do końca życia.

Jego hasła pracy publicznej na gruncie ściśle legalnym za czasów polityki traktatowej i protestowej także należycie nie zrozumiano i okrzyknięto go „szwarcweisserem.“ A już istna nawałnica zerwała się nad głową jego po roku 1880 po wielkim i głośnym wiecu na wielkiej sali Bazarowej w Poznaniu. Wystąpił naówczas w obec swych przeciwników politycznych i z rzadkim u innych darem wymowy, z odwagą cywilną i męstwem, na czem w życiu publicznem nigdy mu nie zbywało, rozwinął w całej pełni swój program polityczny, popierając go siłą i potęgą argumentów. A więc wystąpił przeciwko polityce traktatowej i protestowej, jako mdłej i jałowej, drażniącej niepotrzebnie wroga, rozpalającej czasami nasz pancerz narodowy aż do czerwoności, ale zresztą będącej dla nas bez większego znaczenia, bo nie popartej tem, na co naród zapracować sobie musi, żeby zabezpieczyć sobie swój byt polski. Podniósł hasło pracy na gruncie ściśle legalnym, uzasadniając głębiej i szerzej, jak naród w swoim własnym interesie pojmować powinien uznanie przynależności do państwa pruskiego i jak korzystać z konstytucyi pruskiej, żeby na niej i przy niej umacniać i rozszerzać ogólną oświatę i krzepić ducha narodowego. Wreszcie na tym samym wiecu pociągnął ściśle granicę pomiędzy sferą interesów **kościelnych,** a sferą interesów **narodowych** w społeczeństwie naszem. Bo jakkolwiek Szymański nie rozumiał Kościoła bez narodu, a narodu bez Kościoła, na co złożył dowody podczas walki kulturnej, to przecież zawsze podkreślał dobitnie, że Kościół ze względu na nacisk i napór zewnętrzny tj. nacisk systemu pruskiego dostać się może w takie położenie, że narodowi nie będzie mógł dać potrzebnej zasłony i obrony narodowej i dla tego naród w sprawach świeckich, politycznych zawarunkować sobie musi swą niezależność. Naród Kościołowi może dać potrzebną zasłonę i obronę, jak pokazała walka kulturna, ale Kościół, mający przecież znamię powszechności, nie zawsze może ją dać narodowi w ciężkich jego chwilach, jak pokazują obecne wypadki i całe dzisiejsze położenie polityczne społeczeństwa naszego w zaborze pruskim.

I dla tego to na ówczesnym wiecu w Bazarze zwracał społeczeństwu uwagę, że mogą przyjść czasy, że stósunki kościelno-polityczne w Ks. Poznańskiem staną się podobne do tych, jakie naówczas już były na G. Śląsku, że na tronie Prymasów polskich zasiądzie Arcybiskup — Niemiec, że księża polscy zostaną skrępowani i ograniczeni w swej pracy dla narodu, że nawet naukę religii po szkołach dostaniemy w języku niemieckim, że księża i Władza duchowna będą w obec tego bezbronni i bezsilni, bo system pruski pracuje wprawdzie wolno, ale swe plany i projekty rozkłada nie na rok, dwa lata, lecz na całe pokolenia. Wobec tego społeczeństwu nie wolno polegać i ubezpieczać się na pracy księży w sprawach politycznych i narodowych, nie wolno liczyć, że Kościół da narodowi potrzebną zasłonę, ale

naród sam z siebie, z własnego łona musi wydobyć i wypracować tyle siły żywotnej, zapasowej, że ona starczy na potrzebną obronę jego. W tym celu naród w sprawach świeckich, politycznych zachować musi zupełną niezależność od Kościoła, który skutkiem zewnętrznego nacisku nietylko nie będzie mógł mu dać żadnej obrony, ale nawet niekorzystnie t. j. w kierunku germanizacyjnym oddziaływać może.

Istny huragan — powtarzam — zerwał się po tym pamiętnym wiecu Bazarowym nad głową Romana Szymańskiego. Nawet niektórzy jego właśni zwolennicy polityczni zaczęli się chwiać i giąć. Nikt w społeczeństwie nie chciał na seryo wierzyć w to, żeby rząd pruski miał odwagę posunięcia się do tego stopnia, by na tronie Prymasów polskich osadzić Arcybiskupa Niemca, by sięgnąć aż do kasacyi polskiej nauki religii. Większość społeczeństwa zahipnotyzowaną była jeszcze polityką traktatową i protestową, zapatrzona w nią, nie zdawała sobie jasno sprawy, że rząd, stojący naówczas na czele najpotężniejszego państwa w Europie, który zdobył się na walkę kulturną, na niej nie poprzestanie, ale poprowadzi dalej swe dzieło germanizacyi, i w tym celu przebierać nie będzie w środkach. Jako też nie przebierał i nie przebiera, bo leży w interesie polityki pruskiej, żeby w granicach monarchii pruskiej **żywioł polski przestał istnieć.**

Co Roman Szymański na ówczesnym wiecu przepowiedział, tego wszyscy w całym zaborze pruskim byliśmy lub jesteśmy dziś świadkami. I on nie był prorokiem, ale był potężnym umysłem politycznym, który potrafił zgłębić grunt polityki pruskiej podczas walki kulturnej, który wyniósł z tej walki bogate doświadczenie i który nigdy nie łudził się co do ostatecznych celi i dążności systemu pruskiego. A nie łudząc się, zwalczał bezowocną politykę traktatową i protestową, radził stanąć na gruncie realnym i na nim rozwinąć siły społeczeństwa. Polityka traktatowa była może efektowną, działającą na wyobraźnię. Ale działacz taki, jak Roman Szymański, tem właśnie różnił się od innych współczesnych działaczy, że nie na efektach budował gmach narodowy. Budował go na innych, szerszych i trwalszych podstawach.

W tem jego zasługa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nie łzy przelane, ale niewypłakane łzy są najboleśniejsze.



Opinia wobec sprawy słowiańskiej.

Jesteśmy świadkami wielkiego przeobrażenia się w opinii publicznej: zapatrywania na sprawę wspólności politycznej Polaków z innymi Słowianami. Niedawny to jeszcze czas kiedy wszelkie sympatye słowiańskie uchodziły za coś podejrzanego. Teraz obróciła się opinia: podobnie jak w Czechach tak i u nas wszelka polityka musi być słowiańska. Do tego stopnia, że skoroby jakie stronnictwo polskie oświadczyło się przeciw słowiańskości, tym samym skarałoby się na zupełną niemoc i utratę znaczenia w społeczeństwie.

Zresztą wybitnie słowiański charakter polityki polskiej nie jest nowością; raczej w tradycyi narodu była za najświetniejszych czasów Królestwa polskiego. Słowiańską była polityka Chrobrego i pierwszych Jagiellonów, Batorego, Zamojskich i Żółkiewskich. Słowianofilami były, jak mówi „Świat Słowiański“, najprzedniejsze umysły polskie: Słowacki, Hoene-Wroński, Wielopolski. Jednak nie oglądanie się na tych tytanów ducha i uświadomienie sobie ich myśli otworzyło serca i umysły opinii w polityce słowiańskiej, lecz konieczność obrony przed wrogiem odwiecznym i przeświadczenie, że tylko a przynajmniej najlepiej na gruncie słowiańskim poprowadzić tę obronę. To też wszystkie stronnictwa polskie oświadczyły się za słowiańskością i przypieczętowały oświadczenie obesłaniem konferencyi praskiej.

U nas w zaborze pruskim sympatye słowiańskie datują nie od wczoraj. Już w 48 roku deputacya polska w sejmie pruskim wskazała na przynależność swą do wschodu pod pewnym względem. Mianowicie jednak po upadku kierunku „ugodowego“ i pod naciskiem systemu pruskiego ujawniło się wyraźnie, że przyszłość polska jest nierozdzielna ze Słowiańszczyzną. Nie wysłano wprawdzie deputacyi do Pragi z Poznania, tej „polskiej Pragi“, ze względu na stosunki do rządu. Mojem zdaniem ostrożność była zbyteczna. Prusak bez względu na nasze stanowisko będzie starał się wytępić polskość. Zresztą przecież, jak wiadomo, charakter zjazdu był kulturalny.

W Królestwie i Galicyi życie polityczne ujawnia się w stronnictwach. Konserwatywne żywioły posiadające bądź cobądź bardzo wiele wytrawności politycznej, nie przesądzając sprawy zasadniczej solidarności słowiańskiej, wzięły udział w zjeździe. Wychodziły ze stanowiska bardzo słusznego zresztą, że nie wolno zaniedbywać niczego, coby mogło przynieść korzyści narodowi no i stronnictwu.

Osobliwa była decyzya postępowców. Zdawało się, że z ochotą powitają zbliżenie się z Słowianami na gruncie: wolni z wolnymi, równi z równymi. Tymczasem, mianowicie warszawscy, z początku zupełnie nie chcieli jechać do Pragi, potem pojechali z kwaśną miną i prawiąc o swych niewzruszonych zasadach przy każdej okazyi przeszkadzali mimowoli obradom. O p. Łypacewiczu, jednym z delegatów warszawskich, p. Kosiakiewicz pisał w „Słowie“, że nie zazdrości go żadnemu stronnictwu.

Bardzo rozumną i sympatyczną postawę zajął p. Grek, przedstawiciel ludowców z Lwowa. On to wypowiedział wobec nalegań z strony p. Filewicza i innych działaczów rosyjskich, aby Rusinów galicyjskich uznać za Rosyan z jednej, a postępowców warszawskich z drugiej strony, aby ogłosić ich za osobny naród, zasadę przyjęto ostatecznie, że zjazd nie musi pozostawić samym Rusinom rozstrzygnięcie, czem chcą być.

Socyaliści udziału w zjeździe nie wzięli wcale. Nie wzięli tak samo poprzednio udziału w bojkocie towarów a raczej tandety niemieckiej. Zdaje się, że sami gorliwie starają się o to, aby znaleść się poza społeczeństwem.

Rzeczywiście zastanawiająca i ciekawa jest odpowiedź naszej lewicy na próbę solidarności słowiańskiej. Pytanie, czy nie zależy ono od wpływów żydowskich.

Chwalą się narodowi demokraci, że stanowią prawdziwe centrum narodowe. W istocie zupełnie utożsamiają siebie z narodem. Jeżeli stronnictwo ponosi stratę, to rozgłaszają rozpacznie o klęsce narodowej, jeżeli zyskają coś, to obwieszczają urbi et orbi, że naród cały odniósł korzyści. W ostatnich latach demokracya narodowa, stanąwszy na gruncie rzeczywistej polityki, zaczęła się przebijać przez gęsty las frazeologii powstańczej i fantastycznej ideologii nieprzejednania. To doprowadziło do wyraźnej już secesyi żywiołów skrajnych pod przywództwem pp. Grażewskiego i Studzińskiego. W ostatnich

dniach pułkownik Miłkowski złożył urząd oficyalnego przedstawiciela Ligi Narodowej tj. narodowej demokracyi za granicą z tego samego powodu. Przy tej okazyi dowiedzieliśmy się, że na potrzeby słynnego stronnictwa zdążono wydać większą część skarbu narodowego, bo 150000 fr. Prawdopodobnie pójdzie za nim i reszta. Widać na co się składali naiwni. Ta lewica, czyli ogon narodowej demokracyi, skupiona dokoła warszawskiego „Gońca“, rzecz prosta, miota się od złości na porozumienie z Rosyą, na politykę słowiańską „bez zastrzeżeń“ (słowa posła Dmowskiego). Prawica narodowej demokracyi zaś z szefem Dmowskim na czele wzięła udział. Jako ludzie niesympatyczni, jako politycy nieuczciwi, bo zmieniający programy częściej od rękawiczek, postąpili sobie rozumnie w tej sprawie. I miejmy nadzieję, że uczynili to nietylko z wyrachowania, że oświadczenie się ich przeciwko polityce słowiańskiej zgotowałoby rychły upadek ich znaczenia w społeczeństwie, ale także z patryotyzmu, iż taka tylko polityka zdolna zabezpieczyć rozwój narodu. Obawa tylko inna z nimi. Dotychczas cokolwiek wzięli w rękę, to popsuli. Istnieje więc mimowoli trwożliwość, czyli nie porobią znowu jakich nonsensów i nie zaciągną i tej polityki w błoto, skąd trudno będzie ją wydobyć. Dotychczas odznaczają się wielką gorliwością jako neofici słowianofilstwa, prowadzącą czasem do śmieszności. Tak w Pradze zawołali, gdy jakiś tekst czeski chciano przetłumaczyć na polskie: „My rozumiemy po czesku.“

Jeżeli się zapytamy, co sprowadziło taką zmianę opinii polskiej, to obok położenia politycznego nie można zamilczeć niestrudzonej działalności „Świata Słowiańskiego“, którego przy tej okazyi niech mi wolno będzie polecić czytelnikom (cena 8.50 mk. rocznie wprost z Krakowa; przez księgarnie poznańskie rocznie 10 mk.) Od swego powstania tj. od 4 lat propaguje myśl polityki słowiańskiej. W dodatku dokładnie informuje o Słowianach a nadto stoi na stanowisku wyraźnie katolickiem.

K.

Na tchórza najsrożej napadają tchórze, na złodzieja złodzieje, z waryata najgłośniej śmieją się drudzy waryaci. A człowiek rozumny i odważny w mowach pobłażający jest.

Adam Mickiewicz.

* * *

Duma połączona z pokorą stanowi wielkość człowieka, — duma bez pokory to próżność.

Zygmunt Krasiński.

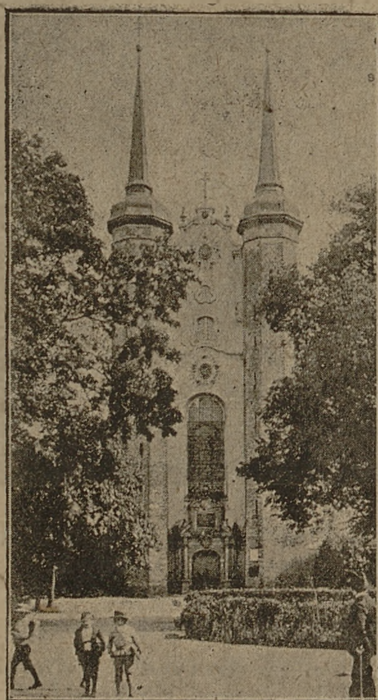
Z ojczystych stron.



Sopoty. — Widok z nad morza.

Oliwa. — Sopoty. — Hela.

Ktokolwiek jedzie do Sopot, ten ma też sobie za obowiązek zwiedzić Helę i Oliwę. Sopoty same jak wszystkie miejscowości kuracyjne nadmorskie. Plaża jak wszędzie, fale umiarkowane, słabsze niż w Połądze. Sopoty bowiem leżą nad zatoką, Połąga nad otwartem morzem. Miasto — Sopoty od kilku lat zostały miastem — zupełnie nowe, nawet kościoły, stanowiące u nas najstarsze budowle. Ruch wielkomiejski. Sklepy wspaniałe z swą tandeta żydowsko - berlińską obliczone na dobrodusznych Polaków. Oprócz kuracyuszów miejscowość zupełnie niemiecka. Za to okolice kaszubskie a więc polskie. Publiczność składa się z trzech żywiołów: Polaków, Niemców i żydów. Wogóle zauważyć można, że do „badów“ bałtyckich i śląskich z obcych jedynie Polacy i żydzi ciągną. Dla Anglików, Francuzów, Amerykanów, Rosyan przeważnie są zbyt drugorzędne, zbyt obskurne po prostu. Ale wypada szanującemu się Królewiakowi jechać za granicę. A propos Królewiaków przypomina mi się, jak wsiadając do wagonu w Gdańsku słyszałem rodzinę (polską nie żydowską) mówiącą, że teraz są w „Dancygu“ a jaką do „Kolbergu“. Mimo to z wszystkich wód Sopoty jeszcze najbardziej zasługują na uwzględnienie z naszej strony. Okoliczna ludność kaszubska żyje w znacznej mierze z przyjezdnych. Najsmutniejszy objaw to brak już nie patryotyzmu, ale zrozumienia interesu własnego z strony „nadobnych“ Warszawianek. Z zadziwiającą pasyą kupują mnóstwo tandety, „bo tanie.“ U siebie w kraju nigdyby tego nie kupiły, bo im całkiem zbyteczne. Ale tu, że „tanio,“ więc dalej. Nie potrzeba chyba powiadać, że okropnie wpadają. Jeżeli ktoś dobrze zna miasto, zawsze może kupić nieźle i nie drogo, ale nie znając zupełnie sklepów w Sopotach i Gdańsku — panie jeżdżą co tydzień dwa razy do Gdańska robić sprawunki — i nie umiejąc wcale lub licho po niemiecku zawsze stawają się ofiarą wyzysku. W ostatnim roku pod wrażeniem wywłaszczenia, poprawiło się podobno. Dałby Bóg, abyśmy nareszcie przestali wierzyć w żydowsko-niemiecką tandetę. Co do tego: jeżeli w Anglii chcą powiedzieć, że coś jest liche, mówią, made in Germany (zrobione w Niemczech).

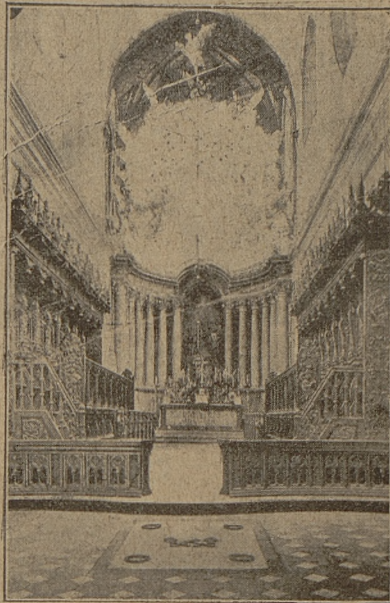


Kościół poklasztorny w Oliwie. Główna brama.

Z Sopot obowiązkowa wycieczka do Oliwy. I myśmy ją zrobili. Było nas pięciu: właściciel browaru z Radomia, fabrykant z Nowo-Mińska z synem, auskultant z Lwowa i ja. Ślicznie się idzie ciągle lasem przez niewielkie wzgórza. Niestety po drodze burza nas spotkała. Było to tym mniej przyjemne, że na wszystkich pięciu mieliśmy jeden para-

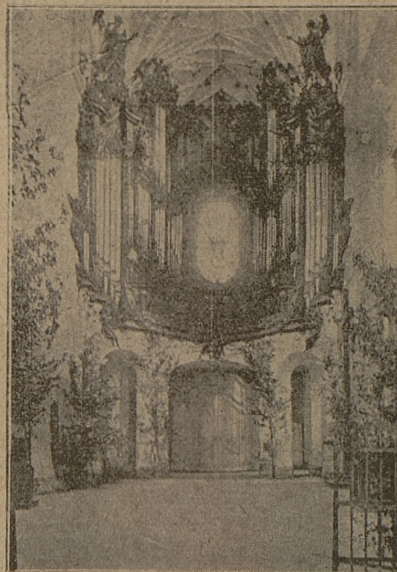
sol. Więc w zagajeniu pod kilku gęstemi świerkami przeczekaliśmy najgorsze. Idąc przez nieznane okolice pytaliśmy się spotykanych po drodze o drogę najprzód po polsku, ale nikt nie umiał dać odpowiedzi, potem po niemiecku. Sama Oliwa hojnie nam wynagrodziła przykrości drogi. Park bardzo piękny ze strzyżonemi alejami. Po wiekowej prawie wzgardzie upodobania zaczynają powracać do ogrodów francuskich. I jako drogocenną pozostałość wespół z pomnikami architektonicznemi szanuje się te pamiątki z wieku Ludwika XV. o ile nie zniszczyła ich brutalna pięść czasów późniejszych. Prawdę powiedziawszy dopiero francuski ogród zasługuje na nazwę ogrodu. Bo przecież ogród, jak już wskazuje, sama nazwa, to nie kawał dzikiej natury, ale przyroda ujęta i ułożona przez wolę człowieka. A chyba w parku angielskim nie widać opanowania przez ludzi.

Klasztór oliwski oczywiście — jesteśmy w Prusach — zabrany na mieszkanie dla jakiegoś księcia. Wielka łaska jeszcze, że z kościoła nie zrobili zboru. A jest on rzeczywiście wspaniały. Już na zewnątrz na tle drzew zieleni przepięknie harmonizują dwie wieże, ciemno czerwone, patyną powleczone z białą fasadą. Kościół w stylu gotyckim z zdobieniami rokokowemi. Rzecz to u nas częsta. Kościoły gotyckie, kiedy przyozdobienie wewnętrzne w jakikolwiek sposób zniszczało, odnawiano w stylu epoki. I najczęściej tak się składało, że ozdoby przypadały na wiek XVIII a więc na rokoko. Zestawienie bardzo piękne. W gotyku pierwiastek konstrukcyjny uwydatnia się zupełnie niepodzielnie mianowicie w naszym surowym i pozbawionym ozdób właściwych z konieczności materyale, cegle, nie dozwalającej rzeźby jak kamień. Rokoko znowu to samo zdobnictwo przytłumiające konstrukcyę. Naszemu gotykowi dla jego surowości nie wystarcza zdobnictwo gotyckie, zbyt ono ubogie, zbyt chłodne. Rokoko pokrywa kościół jak roślinność bujna i daje całość zachwycającą. Najpiękniejszy okaz tego rodzaju stanowią organy — czarnego koloru, największe w całej Polsce. Za zagranie organista żąda 20 mk. Podobno jakieś panie, które przypadkowo znalazły się w kościele podczas jego gry, zamknął na klucz i nie wypuścił aż mu nie zapłaciły. Wielki ołtarz w stylu odrodzenia. Kolumny marmurowe za czasów napoleońskich zamalowano na szaro, aby ich nie zabrali Francuzi. W kościele pokazują nagrobki książąt pomorskich Świętopełka i Mszczuja. W presbiterjum wiszą obrazy książąt i królów polskich. Ciekawy bardzo jest wizerunek Zygmunta III. W krużgankach kościoła pokazują osobliwości oliwskie: kamień w kształcie chleba. Wedle podania podczas głodu bogacza, który niósł chleb, prosił ubogi o kawałek chleba. Ten mu odpowiedział, że ma kamień nie chleb. Wtedy



Wielki ołtarz w kościele poklasztornym w Oliwie.

za karę chleb się w kamień przemienił, a bogacz skruszony oddał go zakonnikom. Niestety tego kamienia nie widziałem. Pokazują pamiątki z traktatu pokojowego w Oliwie (1600); stół gdzie podpisano pokój — w który zwiedzający barbarzyńskim zwyczajem powrzynali swoje nazwiska. Teraz służy za ladę dla sprzedaży kart z widokami. Widać obrazek z rękami szwedzką i polską ściskającemi się wzajem i drugi przedstawiający rajtara szwedzkiego pędzącego do Gdańska z papierami traktatu w ręku.



Słynne, wielkie organy w kościele poklasztornym w Oliwie.

Miasteczko (Marktflecken) Oliwa wrażenie czyni niemieckie. Polskich napisów na sklepach nie ma, po polsku na ulicach nie słychać. Nazwisk zaś choćby i polskich nie można brać w rachubę dlatego, że mianowicie w miastach pruskich pełno Niemców z polskiemi nazwiskami.

Na Helę jedzie się z Sopot parowcem. Hela jest to długi, nizki, wązki półwysep prawie cały zalesiony. Na końcu samym trochę się rozszerza. Tam leży wieś Hela, dzisiaj niemiecka. Domki wszystkie z drzewa, szczytem zwrócone do ulicy. Osobliwe, że drzwi składają się z dwóch części: górnej i dolnej. Według potrzeby można otworzyć całe lub górną część stanowiącą zarazem okno. Na wschodnim końcu znajduje się latarnia morska. Widok stamtąd daleko do koła. Skoro się chodzi po Heli, w środku, skąd nie widać morza, wydaje się, jakby się było gdzieś na wsi w głębi kraju, w jakim zapadłym kącie. Bo spokój tu zupełny. Kurhaus jest tu wprawdzie, ale gości mało. Kto chce odciąć się od świata i azpomnieć o wszystkiem, na Heli może to zrobić z łatwością. Zupełnie przeciwnie do hałaśliwych wielko-miejskich Sopot. Cały wschodni brzeg Heli obeszliśmy po piasku morskim. Niesłychanie czysty i twardy, wypłukany przez morze. Skoro fala ustąpi można iść po nim nie grzęznąc i nie brudząc obuwia aż nie nadpłynie nowa. Wyraźnie bije w oczy różnica między wodą w zatoce a na otwartem morzu. Tu niebieska, tam zielona, tu spokojniejsza woda, tam fala bije żywiej. Bo nieporuszone, ciche morze nigdy nie jest. Choć i wiatru nie ma, zawsze fale o brzegi uderzają. W piasku nadmorskim zbieraliśmy osobliwości. Mianowicie szczęśliwym był profesor z Płocka, przyrodnik. Ja znalazłem tylko kawałek cegiełki w osobliwy kształt wypłukany przez morze i kawałek węgla w kształcie ostrza od siekierki kamiennej.

Piękne są nasze strony i nasze morze. Bo to jedyna część leżąca nad morzem. Tym bardziej powinniśmy się troszczyć o nie. Nasuwa mi się myśl. Miliony topimy w obcych kieszeniach na swoich Kaszubach, nad swoim morzem, wśród swego ludu. Dlaczego nie ma polskich wód, dlaczego nie ma polskiego kurhauzu i polskich sklepów? Za połowę tych pieniędzy, które corocznie wydajemy w tych samych Sopotach, a z których ułamki tylko dostają się naszym Kaszubom, możnaby zrobić to wszystko. A my nic. Czas, by się otrząsnąć z uśpienia.

Ks. K. J. Kantak.

Samolubstwo odwraca się od wszystkiego i patrzy samo w siebie, dlatego też tak biedne, tak litości godne. Każdy z nas o tyle uboższy, o ile nienawidzi, a o tyle bogatszy, o ile kocha.

Józef Kremer.

Szanowni Czytelnicy!

Numer ten jest ostatnim w bieżącym kwartale. Najwyższy zatem czas odnowić prenumeratę na nowy kwartał.

„Praca“ powinna się znajdować w każdym szczerze katolickim i polskim domu.

Biorąc na uwagę obfitość i dobroć materyału, tak literackiego jak ilustracyjnego, jest „Praca“ najtańszym polskim tygodnikiem ilustrowanym.

Dla nowych abonentów rozpoczniemy w przyszłym kwartale druk nowej powieści słynnego powieściopisarza francuskiego Piotra Loti'ego pod tytułem „Rozczarowani.“

Przepyszną tę powieść, osnutą na tle stosunków tureckich, przetłumaczył na język polski znany powieściopisarz i były naczelny redaktor „Pracy“ p. „Maciej Wierzbiński.

Tłumaczenia tego dokonał pan M. Wierzbiński w wiezieniu we Wronkach, gdzie spędził długich i ciężkich 18 miesiecy jako skazaniec polityczny.

Oprócz powyższej powieści mamy w tece naszej szereg wybitnych prac powieściowych, nowelistycznych, literackich, naukowych i t. d. Zatem beletrystyczna część naszego wydawnictwa zapowiada sie nadzwyczaj interesująco.

Jak dotąd tak i nadal będziemy zamieszczali wytrawne artykuły politycznej i społecznej treści oraz informować będziemy o ważniejszych zdarzeniach z wszystkich dziedzin życia, z szczególniejszem uwzględnieniem rzeczy swojskich, mających dla rozwoju kultury naszej znaczenie.

Również materyal ilustrowany starannie jest na zbliżający się kwartał przygotowany.

Na „Gwiazdkę“ otrzyma każdy z naszych szanownych czytelników pięknie wykonany kalendarz ścienny — numer gwiazdkowy zaś będzie wydany szczególniej ozdobnie.

Po tem, co sie wyż powiedziało, należy nam zwrócić sie jeszcze do szanownych czytelników i przyjaciół naszych z uprzejmą prośba o łaskawe poparcie naszego tygodnika przez abonament i agitacyą w kole znajomych, a nie wątpimy, że „Praca,“ zjedna sobie coraz wiekszą liczbę prenumeratorów, co jej umożliwi coraz lepiej wywiązywać sie z swego zadania kulturalnego i cywilizacyjnego na pożytek społeczeństwa, a przedewszystkiem na pożytek szerokich warstw ludowych, dla których głównie jest przeznaczona.

Na widowni.

Dnia 18. bm. obchodził Ojciec św. 50. rocznicę swego pamiętnego dnia, w którym pierwszą mszę św. ofiarował Bogu w skromnym kościółku rodzinnej wioski swojej Riese. Podczas roku jubileuszowego kilkakroć uczciliśmy w piśmie naszem Ojca św., zatem obecnie ograniczamy się na krótkiej tylko wzmiance. Znana jest miłość Piusa X. dla narodu polskiego, to też Polacy z szczególniejszą miłością i wdzięcznością odnoszą się do tego wielkiego i świętego papieża, który tak po ojcowsku odczuwa ciężkie położenie nasze i stara się je słodzić, odznaczając nas wielu dowodami szczególniejszej łaski. Przedewszystkiem zaś my Polacy z Księstwa winniśmy wdzięczność papieżowi, ponieważ obstaje mężnie za naszemi prawami w Kościele i nie ulega dyplomacyi rządu pruskiego, któryby pragnął na stolicy prymasów polskich osadzić Niemca.

Gdy te słowa piszemy odbywa się w grodzie naszym zjazd delegatów naszych spółek, czyli Sejmik związku spółek zarobkowych i gospodarczych na Poznańskie i Prusy Zachodnie, zwołany na *22, 23* i *24* września do Poznania przez patrona Spółek, ks. prałata Wawrzyniaka. Wiadomo, jak ważny czynnik przedstawiają nasze rozliczne spółki w naszem życiu ekonomicznem i społecznem. Zatem doroczne zjazdy delegatów żywy budzą interes w społeczeństwie naszem i słusznie, bo od prawidłowego funkcyonowania i od należytej organizacyi tych instytucyj zależy — śmiało rzec można — prawidłowy rozwój zbiorowego naszego życia gospodarczego.

W pewnej części prasy naszej sroży się burza z powodu podanego przez „Kur. Pozn.“ wyjątku z przemowy N. ks. biskupa Likowskiego mianej z okazyi zakończenia rekolekcyj kapłańskich. Według „Kuryera“ miał N. ks. biskup Likowski zarzucić prasie ludowej, iż wpływ jej na lud niebezpieczniejszy jest, niż wpływ towarzystw protestantyzacyjnych, ponieważ nasza prasa ludowa ma być katolicka tylko w słowach a nie w istocie.

Co do nas nie możemy uwierzyć, żeby N. ks. biskup mógł coś podobnego powiedzieć, i sądzimy raczej, że treść przemowy biskupiej nie jest oddana wiernie. Nie możemy wszakże zataić swego zdumienia nad postępkiem osoby, która oskarżyła ks. biskupa przed redakcyą „Kuryera“. Sądzimy bowiem, że jakąkolwiek była przemowa biskupia, miała charakter poufny i nie była przeznaczona dla szerszej publiczności. Ten jej charakter poufny należało uszanować. Miejmy nadzieję, że przykra ta sprawa wyjaśni się rychło i wzburzone umysły się uspokoją.

W wielkiej polityce budzą zainteresowanie dwukrotne enuncyacye kanclerza na temat pokoju europejskiego. Pierwsza, mniej sympatycznie w świecie przyjęta, stanowi interwiew kanclerza przez angielskiego publicystę Sidney Whitmana. W rozmowie tej omawiał kanclerz obszernie całą politykę międzynarodową i starał się udowodnić niesłuszność zarzutów, czynionych polityce niemieckiej, szczególniej ze strony angielskiej. Drugą enuncyacyą kanclerza była mowa jego wypowiedziana na konferencyi interparlamentarnej w Berlinie. W mowie tej zaznaczał kanclerz, że Niemcy pragną pokoju i potrafił swym myślom nadać taką formę, że wywarł bardzo dobre wrażenie u zgromadzonych członków konferencyi.

Nie mniej interesującym był zjazd socyalistów w Norymberdze. Miał się tam rozstrzygnąć spór pomiędzy radykalnymi socyalistami a rewizyonistami, czyli pojednawczo usposobionemi żywiołami w łonie socyalnej demokracyi. Sprawa zakończyła się dysonansem. Zjazd wprawdzie przyjął rezolucyę, ganiącą wyraźnie uchwalenie budżetu, dokonane przez socyalistów południowych, ci jednak, zamiast się poddać, oświadczyli, iż uznają zjazd partyi za miarodajny w sprawach obchodzących całą rzeszę, tam jednak, gdzie chodzi o sprawy poszczególnych państw związkowych, tam pragną być niezależni. Zjazd przyjął tę rezolucyę do wiadomości. Sprawa ta może mieć fatalne skutki dla socyalnej demokracyi, gdyż ujawnił się zasadniczy rozdźwięk w tej partyi, mogący z czasem doprowadzić do zupełnego rozdziału, a będący w każdym razie złowróżbnym znakiem rozbicia się jednolitości w działaniach partyi socyalistycznej. To zaś tylko i może osłabić i podkopać jej wpływ pośród szerokich mas.

Hrabia Zepelin, którego nieszczęście cały świat poruszyło, znalazł wkrótce towarzyszów niedoli. Otóż tak balon Parsevala, jak aeroplan Wrighta w ostatnim czasie znaczne miały niepowodzenia. Bardzo nieszczęśliwie zakończyły się ostatnie próby aeroplanem Orville'a Wrighta, gdyż aparat wskutek pęknięcia śruby ze znacznej wysokości spadł na ziemię, grzebiąc pod sobą nieszczęśliwego wynalazcę i towarzyszącego mu oficera. Wright doznał ciężkich zewnętrznych i wewnętrznych obrażeń, towarzyszący mu porucznik Selfridge postradał życie. Zapewne dużo jeszcze wody upłynie, aż aparaty unoszące człowieka w przestwory powietrz-

Z życia towarzyskiego rodaków na obczyźnie.



Zarząd i członkowie Towarzystwa gimnastycznego „Sokół" w Mengede.

Mengede, miejscowość w Prusach, w prowincyi westfalskiej, w obwodzie rejencyjnym arnsberskim, w powiecie dortmundzkim, liczy blisko 2000 mieszkańców.





Zarząd i członkowie Towarzystwa gimn. „Sokół" w Rauno.

Nazwiska czytane od dołu w górę:

Kruszona. Kucz.
Sobolewski, St. Smól, Strugarek, Wrzesiński, Glazer, Jędrzejowski, Kruczyński,
zast. naczeln. naczelnik. skarbnik. prezes. zast. prezesa. sekretarz. zast. sekr.
Zalewski. Burzyński. Bąkowski. Tomicki. Pieczątkiewicz. Gorący, Smól.
Kowalski. Jasik. Parkietny. Jaworski.

W Rauno istnieje Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" i Towarzystwo Robotników. „Sokół" założony w roku 1906, dnia 15. sierpnia, rozwija się powoli, pomimo braku poparcia. Rauno, wieś w Prusach, pod Złokomorowem w prowincyi brandenburskinj, w obwodzie rejencyjnym frankfurtskim, liczy przeszło 1300 mieszkańców.

---

ne będą tak dalece udoskonalone, że z niejąką pewnością będzie się im można powierzyć. Dotychczas odważni zdobywcy powietrza pracują w ciągłem niebezpieczeństwie życia.

Na austryackim gruncie spotkali się rosyjski i austryacko-węgierski minister dla spraw zewnętrznych pp. Izwolski i Aehrenthal. Jak donoszą gazety panuje pomiędzy tymi panami harmonia, co do zapatrywań na sprawę turecką. Ponieważ ostatniemi czasy stosunek austryacko-rosyjski z powodu budowy kolei w Sandżaku dość był naprężony, należy się z tej harmonii cieszyć. Zjazdy takie niewątpliwie mogą się przyczynić do wzmocnienia pokoju, szczególniej, jeżeli po obu stronach jest dobra wola, skierowana ku usunięciu istniejących nieporozumień.

We Węgrzech odbywają się ważne układy pomiędzy koroną a poszczególnemi partyami rządowemi. Korona bowiem życzy sobie wprowadzenia we Węgrzech powszechnego i równego prawa wyborczego. Życzenie to popierają ostro żywioły demokratyczne. Gdyby taki system zaprowadzono znikła by w kraju przewaga Madziarów. Aby do tego nie dopuścić wypracował hr. Andrassy projekt wyborczy zabezpieczający Madziarom decydujący wpływ na Węgrzech. Król jednak nie chce zgodzić się na projekt Andrassy'ego. Aby uzyskać przyzwolenie monarsze, zaproponowano znaczne ustępstwa w sprawie reformy armii, gdyż powszechnie wiadoma, jak bardzo cesarzowi zależy na reorganizacyi armii. Jak daleko postąpiły układy — dotychczas nie wiadoma.

W Lublanie, stolicy Krainy, przyszło do wielkich demonstracyi anti-niemieckich. Wywołali je sami Niemcy, udaremniając obchód uroczystości Cyryla i Metodego, który chcieli urządzić chłopi słoweńscy, zamieszkujący okolice miasteczka Ptuj w południowej Styryi. Już tam przyszło do starcia, zakończonego jednak zwycięstwem Niemców, liczniejszych w tej okolicy. Rozdrażniło to niesłychanie ludność słoweńską Lublany, liczniejszą znów od niemieckiej. W ratuszu lublańskim odbyło się wielkie zgromadzenie, na którem poseł do sejmu dr. Triller i jeden z członków rady miejskiej wygłosili gorące mowy, wzywające ludność słoweńską do bojkotu kupców niemieckich. Po wiecu wielotysięczny tłum manifestował przeciw Niemcom na ulicach, wybijając szyby sklepów kupców niemieckich. Dopiero interwencya wojska położyła koniec demonstracyom.

Na koniec zaznaczyć należy, że w Berlinie zachorowała pewna Rosyanka, która przybyła z Petersburga, na cholerę. Zarządzono wszelkie środki ostrożności. Jak wiadomo, panuje w Rosyi cholera od dość dawna i pochłania liczne ofiary.

Szukając światła w cieni nieprzejrzystej,
W głąb myśli dumna mądrość się zanurza;
Widniejsze słońce w małej kropli czystej.
Nie w oceanie, gdy w nim mieszka burza.

Stefan Witwicki.

Dom trupów.

(La Morgue.)

Co rok traci Paryż jakąś nadzwyczajność, godną widzenia. Kto niedawno jeszcze odbywał podróż do Paryża z chwalebnym zamiarem składania przepisanych hołdów nietylko sztukom pięknym i kobietom, ale nadto poznania nieskończonej rozmaitości życia paryskiego, ten musiał koniecznie po zwiedzeniu katedry Notre Dame, iść do małego, niepozornego budynku, leżącego na wschodniej stronie Isle de Seine, w cieniu ogromnej świątyni. Żaden przechodzeń, spieszący przez most św. Michała na drugi brzeg Sekwany, nie minął tego domu, otoczonego obydwoma ramionami rzeki. Robotnicy w obszernych, bronzowych aksamitnych spodniach, kobiety z koszykami na ręku, wesołe, młode dziewczęta sklepowe, wytworni panowie, obdarte chłopaki z dzielnicy apaszów, wszystko to wchodziło i wychodziło drzwiami wiecznie otwartemi do wnętrza domu. Jedni wychodzili zamyśleni, inni z uśmiechem i piosenką na ustach. Dom ten musiał posiadać dziwny magnes, dziwną siłę przyciągającą, której się nikt, przechodzący tędy, oprzeć nie mógł.

Wszedłszy do tego domu, znajdowaliśmy się zaraz w wązkiej, jasnej sali, niezmiernie czystej, lecz o lodowo zimnej temperaturze, której tylna, długa strona zamkniętą była rodzajem szklanego okna wystawnego. Okno to zmieniało wystawę codziennie. Z sztywnemi, białemi twarzami, leżały tu,

zwykle łachmanami okryte i na ciekawość publiczności wystawione, ofiary wielkiego miasta, które w gazetach paryskich, w rubryce „Nieszczęścia i zbrodnie", takie miały nekrologi: samobójcy, wyciągnięte z Sekwany bezimienne trupy, ofiary nocnych napadów na ulicach, albo walk z apaszami, i to osoby wszelkiego wieku, żeńskie i męskie. Nie był to piękny widok i każdy cudzoziemiec dziwił się, z jaką obojętnością i tępą ciekawością patrzeli stali goście tutejsi na smutne resztki ludzkie, i z jakim apetytem zjadała niejedna wesoła dzieweczka swoje śniadanie, wobec niemych świadków po za szklaną szybą...

Rzecz jasna, że zarząd miasta nie pozwalał chodzić tam publiczności dla tego, aby sprawiać Paryżanom, żądnym wzruszeń i wstrząśnień nerwowych, jakąś przyjemność. Policya spodziewała się raczej od publiczności ważnych usług, mianowicie przy stwierdzaniu tożsamości nieznajomych ciał i przy wykrywaniu zbrodni. I nadzieja ta spełniała się nieraz, czasem nawet odbywały się tam sceny prawdziwie dramatyczne, gdy ktoś z familii poznał umarłego — niejeden też zbrodniarz przyznał się do winy, gdy go przyprowadzono tutaj i skonfrontowano z ofiarą. Ale jeżeli dziś prefekt policyi zdecydował się na wzbronienie wejścia publiczności do Morgi i na przeniesienie całego domu do jednego z miejskich szpitali, to uczynił to dla tego, że korzyści z publicznego wystawiania trupów nie stoją w żadnym stosunku do szkodliwego wpływu, jaki widok ten wywiera na nizkie instynkta mieszkańców miasta. Nawet najkonserwatywniejsi Paryżanie, którzy ujmują się gorąco za zachowaniem najmniejszego znaku dawnych dobrych czasów, nie żałują zniknięcia Morgi, która nawet i pod względem estetycznym nie była ozdobą malowniczego miejsca, na którem się znajdowała.

Ale chociaż La Morgue, której szary dom od r. 1864 szpeci starą Cite z jej wiekopomnemi gmachami, zniknie wnet z miasta, to jednak wymazać jej nie można z kroniki Paryża, w której przeszło 200 lat dziwną odgrywała rolę. Była ona miejscem, w którem kończyło się wiele dramatów z mieszczańskiego i politycznego życia.

Dom ten leżał zawsze nad brzegiem Sekwany, chciwej ofiar ludzkich; najpierw na miejscu, gdzie dziś stoi teatr Chatelet, potem od r. 1804 na miejscu dzisiejszej prefektury policyjnej, dopiero w r. 1864 stanął tam, gdzie go dziś jeszcze widzieć można. Pod krótkiem panowaniem Ludwika Filipa znajdowało się tam wskutek licznych rewolucyi i spisków, dziennie przeszło sto ciał, nad któremi stał zwykle napis „zastrzelony." Dziś liczą tam rocznie przeciętnie 1100 trupów, co zawsze dość pokaźną jest ilością. Po nieszczęśliwym pożarze bazaru lub po katastrofie w tunelu Metropolitaine było tam tyle ciał, że ledwie je pomieścić zdołano.

Dla osób zajętych tam ciągle, dla służby i zarządu stracił ten dom swój ponury charakter — siła przyzwyczajenia i tu się okazuje. Dotychczasowy zarządca, który po kilkudziesiętnej służbie wziął niedawno dymisyę, nie stracił przy swem zajęciu wesołego humoru. Spokojnie opowiada on o strasznych scenach, których sam był świadkiem, i z których kilka, obrazono przedstawionych, „zdobi" ściany pokoju jego. Poprzednika tego urzędnika, Clovisa Pierre obdarzyła nawet Morgue'a poetycznem natchnieniem i dziwaczne produkta jego muzy dziwaczne też mają tytuły, np. „Spalenie", „Orszak żałobny mej ciotki", „Pan Katafalk" itp.

Dla niektórych osób ma służba przy umarłych nadzwyczajny urok — tak przynajmniej sądzić można z olbrzymiej ilości zgłoszeń o każde wakujące miejsce, a kandydaci na miejsca te należą do najrozmaitszych zawodów i kół towarzyskich. W aktach domu tego znajdują się niejedne, co najmniej niezwykłe, podania i prośby o miejsca tamże. I tak pisze jakiś ośmnastoletni młodzieniec, że znając doskonale języki grecki, łaciński i angielski, nadaje się najlepiej na stróża przy trupach. Inny poleca swego znajomego, wychwala liczne jego zalety i przymioty i dodaje, że gdyby zarząd nie miał dla niego miejsca w Mordze, to prosi o umieszczenie go w domu obłąkanych w Charenton. Zdaje się, że dla młodego człowieka, posiadającego takie skłonności, byłoby tam najodpowiedniejsze miejsce.

W bystrej, żartkiej myśli, w opatrznej radzie, w poważnem słowie, maluje się godność duszy. Te zalety zdobią męża, niemi on słynie; w nich ma uznanie samego siebie w swojem jestestwie.

Maurycy Mochnacki.

* * *

Jak małoznaczące, pojedyńcze kroki połączone razem, tworzą ogromne przestrzenie, tak drobne oszczędności pojedyńczych kraji obywateli, zasilają szybko i potęgują szybko zbiorowy zasób narodu.

Józef Supiński.

* * *

Tam bywa najmniej do widzenia, gdzie stoi najwięcej gapiów.



Na zżółkłych łąkach.

Na zżółkłych łąkach wiecują już ptaki
I nad powrotem radzą tak z wieczora:
„Tam, gdzie słoneczne, jasne nieba szlaki,
W kraj wiecznej wiosny wracać nam już pora.

W kraj wiecznej wiosny wracać nam już pora,
Porzucić gniazdka pod słomianą strzechą,
Tu, szybkim krokiem przyjdzie zima, skora
Zmrozić w gardziołkach piosnki naszej echo.

Zmrozić w gardziołkach piosnki naszej echo
I ogołocić gaje, drzewa, krzaki,
Czas rzucić miłe gniazdeczka pod strzechą!"
Na zżółkłych łąkach wiecują już ptaki.

Paula Wężyk.



O życiu i śmierci.

Profesor dr. Jores w Kolonii interesujący miał na temat ten wykład. Najpierw wskazał na to, że pojedyńcze części żyjącego organizmu wiodą życie dosyć samodzielne, tak, że odłączone od całości, żyją jeszcze dalej. Dowodem tego są odcięte i w wodę włożone kwiaty, okulizowane rośliny, i przeniesienie kawałków ludzkiej skóry, które przechowane w odpowiednim płynie, zatrzymują życie aż do dziewiątego dnia. Samodzielność części okazuje się i w tym jeszcze fakcie, że obumierają (np. przy gangrenie, gdy choroba głównej żyły w nodze ubezwładnia ją) nie pociągając za sobą śmierci całego organizmu. Muszkuły jelit zabitych zwierząt ściągają się też jeszcze i po śmierci i są wrażliwe na najmniejsze draźnienie. Fizyolog Langendorff był pierwszym, który dowiódł, że wyjęty z ciała muszkuł serca zachowuje czynność przez wiele jeszcze godzin, jeżeli go się kładzie w odpowiedni rozczyn soli i że czynność jego nie ustaje nawet i po 24 godzinnej przerwie. Życie organizmu nie jest, jak dawniej sądzono, złączone z jakimś punk-

tem centralnym, naprzykład z mózgiem — składa się ono raczej dla całego organizmu z życia pojedyńczych części. Virchow poznał, że te pojedyńcze życia mają siedlisko w komórkach. Wyłączne zestawienie organizmu z komórek stało się wątpliwem w substancyi, jaką zauważono pomiędzy nerwami, muszkułami i chrząstkami, przekonano się jednak, że i ta substancya nie jest niczem innem, jak dawniejszemi komórkami. Czynność życiowa organizmu polega na czynności życiowej pojedyńczych komórek. Najważniejszą ich właściwością jest to, że funkcyonują nie ciągle, tylko z powodu jakiegoś drażnienia, i że działalność ta zależy od budowy organizmu a nie od rodzaju draźnienia; można ją porównać z prochem, którego żywa siła zaczyna działać, gdy go się pali. I w komórce są nagromadzone ukryte siły, które można zamienić w żywą siłę. Staje się to także za pomocą pewnego sposobu palenia, które wydziela zużyte materye; komórka nabiera przytem kwasorodu i wydaje jako produkt kwas węglany. Komórka traci wprawdzie na substancyi, lecz posiada własność zastąpienia jej tem, że gromadzi w sobie środki spożywcze z swego otoczenia i zamienia je w żywą substancyę, w białko. Pod tym względem mają rośliny, które dostawają tylko substancyę bez narzędzi życiowych, najwięcej siły żywotnej, podczas kiedy zwierzęta wchłaniają w siebie tylko substancye organiczne, stojące najbliżej zawartości ich komórek i dla tego muszą używać białka jako pokarmu. W komórkach tkwi również zdolność dalszego rozkrzewiania się. Mnożą się one za pomocą dzielenia się, mianowicie, jeżeli indywiduum jest jeszcze młode, ale to mnożenie się, umożliwiające wzrastanie, nie ustaje nawet i przy wyrosłych organizmach — jest ono raczej potrzebnem na zastąpienie zużytych komórek. Wyjaśnienie tych sił nie jest jeszcze zupełnem. Niektórzy usiłowali te objawy żywotne oprzeć na podstawie nauk przyrodniczych, alę naprzeciw tym zapatrywaniom stanęła stara nauka o zasadach życia, która przyjęła odrębną siłę żywotną. Dzisiejsza nowa nauka o zasadach życia (neowitalizm), nie zaprzecza zależności początku życia od sił przyrody, lecz przybiera nadto jeszcze współdziałalność osobnej siły i dążności do wskrzeszenia się, siły wyższej, stojącej ponad siłami przyrody. Twierdzenia te opierają się głównie na objawach odrodzenia się części skaleczonego organizmu albo nowego utworzenia się przeciętego. W wielu przypadkach jest widoczną dążność złączenia się rozdzielonych części w samodzielną całość. Tutaj widzą neowitaliści potrzebę przyjęcia siły wyższej stojącej ponad siłami przyrody.

Profesor Jores przyznaje nowej nauce o zasadach życia wszelkie prawo bytu; okazała ona dostatecznie ujemne strony mechanicznego zapatrywania się na objawy życiowe, można tak samo nowej jak i dawniejszej tej nauce zarzucić to, że czy w tem, czy w owem pojęciu nie ma właściwej drogi do rzeczywistego rozpoznania problemu życiowego, jest to raczej obejście faktów. Proces życiowy jest zwykle nieustającym i nie znosi przerwy, ale i w tej regule zachodzą wyjątki. Do tych należy ziarnko zasiewne, przy którem nie ma żadnej zamiany materyi, tak, jak się dzieje u zwierząt podczas ich snu zimowego. Ale i zwierzęta mogą z powodu suszy lub zamarznięcia (jak się u żab podobno zdarza) stracić wszelkie objawy życia i później przy odpowiedniem obchodzeniu się z niemi, znów do życia powrócić. Zwykle jednak następuje śmierć, skoro proces życiowy w organizmie zostaje przerwanym. U większych zwierząt i u ludzi zostaje komórka przy życiu, jeżeli krew zasila ją kwasorodem i żywnością, którą w siebie wchłania. Gdy tego nie ma, następuje śmierć. Kwasoród wprowadzamy w krew oddychaniem i żyjemy tu z jednej chwili do drugiej. Nie możemy nagromadzić kwasorodu na zapas i umieramy z powodu braku jego już po upływie kilku minut — komórki bowiem rozpadają się. Tylko zwierzęta zimnokrwiste stoją pod względem potrzeby kwasorodu korzystniej, żaba naprzykład może dłużej żyć w astmosferze kwasu węglanego. Co do pożywienia, to nie jesteśmy ograniczeni na potrzebie chwilowej, w ludzkiem bowiem ciele rozmaite znajdują się składy białka.



Z robotnicy fabrycznej milionerka!

W West-Hoboken umarł w tym roku Szczepan Givernaud, fabrykant jedwabiu, pochodzący z Francyi. Przybył tu przed kilkudziesięciu laty i z biegiem czasu dorobił się milionów. Śmierć jego i skarga a raczej zaczepienie testamentu, przywołują na pamięć romantyczny epizod z życia tego Francuza, który później został amerykańskim obywatelem.

Było to przed dwudziestu pięciu laty. Już wtenczas posiadał Givernaud kilka przędzalni jedwabiu w Stanie Nowojorskim. W jednej z tych fabryk pracowała młoda dziewczyna, Barbara Hines, która, pomimo, że była córką bardzo biednych rodziców, posiadała wszytkie wdzięki prawdziwie pięknej Amerykanki. Przytem była energiczną, dzielną i uczciwą dziewczyną i wypełniała w fabryce pana Givernaud w Nordbergen koło Nowego Jorku jak najsumienniej swoje obowiązki. Piękna ta, wysmukła i zręczna dziewczyna zwróciła na siebie uwagę właściciela fabryki, gdy raz przechodził przez salę, w której pracowała, i wnet zbudziło się w sercu milionera gorętsze uczucie dla robotnicy, która tak szybko przędła cienkie nici jedwabiu. Barbara dostała wkrótce miejsce pierwszej prządki i nie trwało długo, a cały personał w fabryce wiedział, że szef częstym bywa gościem w biednej chacie Hinesów. Po upływie kilku tygodni rozniosła się wieść, że pan Givernaud i młoda robotnica z fabryki wzięli ślub w obecności tylko rodziców narzeczonej. Pewnego dnia stanęła inna prządka na miejscu ładnej Barbary i zaraz potem ukazało się w gazetach nowojorskich oficyalne doniesienie o tym romantycznym związku, wywołując w towarzyskich kołach miasta niezmierną sensacyą.

Piękna pani Givernaud przyzwyczaiła się wnet do bogactwa męża i rozwinęła tak zdumiewające towarzyskie talenta, że nawet najwyższe koła otworzyły jej drzwi swoich salonów. Z skromnej robotnicy fabrycznej, stojącej przy maszynie od rana do wieczora za dość lichem wynagrodzeniem, stała się wytworną panią wielkiego świata, nadającą ton całemu towarzystwu nowojorskich milionerów.

Małżeństwo podstarzałego milionera i młodziutkiej Amerykanki bardzo było szczęśliwe, ale Szczepan Givernaud nie długo cieszył się swem szczęściem. Po pięciu latach doznał wskutek wypadku na kolei żelaznej silnego porażenia wszystkich członków i chorował ciężko aż do śmierci. Przed dwudziestu pięciu laty, gdy ów Franko-Amerykanin zawierał małżeństwo z Barbarą Hines, nie wiedział nikt, że Szczepan Givernaud miał już w Francyi żonę i że nawet miał tam córkę. Do nikogo w świecie nie mówił milionowy fabrykant o swem pierwszem małżeństwie, budzącem w nim widocznie bardzo nieprzyjemne wspomnienia.

I dopiero po śmierci znaleziono w testamencie jego wzmiankę o córce z pierwszej żony, której zapisał tylko dwa tysiące dolarów. Swej drugiej żonie, Barbarze Hines-Givernaud zapisał oprócz całego majątku, wynoszącego kilkadziesiąt milionów, cały pałac wraz z wspaniałem urządzeniem, końmi i powozami w Nordbergen, tam, gdzie niegdyś stała jej kołyska, podczas kiedy pierwsza jego żona, która teraz z córką swoją, panią Eugenią Vialis, mieszka w rodzinnem mieście pana Givernaud, w Lyonie, nic nie dostała.

Zaledwie otworzono testament zmarłego, gdy pierwsza żona zaczepiła ważność jego skargą przed sądem nowojorskim. Matka i córka pierwszego małżeństwa dowodziły, że gdy Szczepan Givernaud żenił się przed dwudziestu pięciu laty z robotnicą fabryczną, nie był jeszcze urzędownie rozwiedziony z pierwszą żoną. Twierdziły także, że tylko obce zgubne wpływy zniewoliły go do zaparcia się pierwszej rodziny i że z powodu odniesionego przed dwudziestu laty porażenia, był umysł jego tak osłabiony, że nie potrafił już ułożyć testamentu.

Obecnie więc łamią sobie nowojorscy sędziowie głowy nad tem, która z obydwóch pań jest prawną żoną milionera, czy pani Alicya Givernaud z Lyonu, czy pani Barbara Hines-Givernaud, dawniejsza robotnica z fabryki w Nordbergen.



Kolonia polska w stanie Parana.

Jak gospodarują nasi koloniści w Brazylii.

Skreślił
J. B. Zdanowski.

Na łamach pism spotykam nieraz mylne mniemanie, że polscy koloniści w Brazylii nie potrafili dotychczas dostosować się do nowych warunków i potrzeb życia i uważani są tam za zacofańców.

W krótkości postaram się skreślić kilka słów w tej sprawie. Prawdą jest, że niektórzy z osadników uprawiali mniej korzystne rośliny, lecz czynili to dla tego, że system już wypróbowany w ojczyźnie chcieli tu zastosować, jako pewny i niezawodny. Później, przekonawszy się, że uprawa takich roślin nie przynosi oczekiwanych korzyści, stosowali się do miejscowych warunków, biorąc przykład od Niemców czy też Brazylijczyków.

Warunki, w jakich znaleźli się nasi rodacy zaraz po przybyciu do Brazylii, były w istocie trudne. Przeznaczone do kolonizacyi *szakry* (Szakrem nazywają tu lot czyli dział włościański, którego przestrzeń równa się 25 hektarom czyli 40 morgom), były pokryte gęstemi lasami, jakie wogóle spotykane były na wszystkich koloniach zajętych obecnie przez Polaków. Rzuceni w te nieprzejrzane lasy nie mogli rozpocząć zaraz postępowego gospodarstwa, gdyż troska o chleb dla rodziny, zmuszała ich myśleć przedewszystkiem o jutrze.

Więc też wzięto się do znanych i wypróbowanych w starym kraju prac: jak siewu prosa, żyta, hreczki, tatarki itd. Zabezpieczywszy się od głodu, poczęli rozglądać się i rozważać czy uprawa innych roślin nie była by korzystniejszą. Zarzucili uprawę prosa, do minimum zmniejszyli siew hreczki, a poczęli uprawiać kukurydzę, czarny groch-szablę, zwany tam fiżon, wreszcie batatý, ryż i wyrabiali maniok (Farinha de Mandioca), który jest bardzo smacznym i pożywnym. Mąki maniokowej używa się jako przyprawę do różnych potraw, szczególniej do wypiekania bardzo dobrego chleba, jeśli się domiesza nieco pszennej mąki. Dziś już tysiące kolonistów przerabiają herva matę i dostarczają w dużych ilościach hurtownikom do młynów, wyłącznie służących do mielenia hervy.

Jedynie uprawa manioku postępowała nieco powoli, dziś jednak już wielu kolonistów wyrabia farynę maniokową. Mówiąc nawiasem wyrób faryny maniokowej należy do najkorzystniejszego zatrudnienia, gdyż na farynę łatwo znaleść nabywców.

Len nie na wszystkich gruntach jednakowo bujnie wyrasta, więc też nie wszędzie jest uprawiany. Plantują go na Prudentopolis i Rio-Claro, tam też znakomicie rozwija się tkactwo, w innych miejscowościach uprawa lnu i tkactwo jest dopiero w zarodku.

W ostatnich latach wzięto się gorączkowo do uprawy wina i nie ma dziś prawie kolonii, gdzieby kilku lub kilkunastu gospodarzy nie hodowało tego szlachetnego krzewu. I słusznie, bo uprawa jest stosunkowo łatwa, a wydaje obfity plon i gdyby nie pewien brak praktyki przy wyrobie wina, który niejednego zniechęcał, Polacy i na tem polu odnieśliby zwycięstwo. Dzisiaj już pomimo tego wielu Polaków wyprzedziło swych mistrzów Włochów, którym wyrób wina znanym był jeszcze w ojczyźnie.

Nasi koloniści wyrabiają wino dość starannie i czysto, a nie fałszując go, znajdują na wytwór swój prędzej nabywców niż Włosi. Winnice polskie dobrze prosperują zarówno w stanie Parana jak i w stanie Rio-Grande do Sul. Niektóre posiadają do kilku tysięcy krzewów.

Brak należycie zbudowanych winotłoczni daje się jednak odczuć. I temu jednak zaradzono w części. Jeszcze przed dwoma laty dwaj gospodarze polscy na kolonii *Tomas Koelho,* zbudowali winotłocznie własnego pomysłu, przy pomocy których przeszło tysiąc dwieście kilogramów można wytłoczyć, gdy tymczasem przeważnie prymitywne tłocznie gospodarzy Włochów nawet połowy tej ilości nie mogą wyprodukować. Wino gospodarza polskiego ma dzisiaj już niejako wyrobioną markę, cenione jest więcej niż wino przeciętnych producentów krajowych i niektórych Francuzów i Włochów, którzy produkując wino przy pomocy tłoczni i aparatów najnowszej konstrukcyi, otrzymują za wytwory swe nagrody rządowe.

Po wielu nieudanych próbach siewu pszenicy, wzięto się znowu do jej uprawy. Stwierdzono mianowicie, że pszenica znakomicie dojrzewa na niektórych gruntach; zasiawszy ją na odpowiednim gruncie zawsze się udaje. Urzędowy organ *„Boletim Colonial e Agricola do Estado do Parana"* pochlebnie zaznacza, iż jedynie polscy koloniści wzięli się na seryo do uprawy pszenicy i dowiedli, że i na brazylijskiej ziemi dojrzewa. Na wystawie narodowej w stolicy Rio de Janeiro, wystawili wspaniałe okazy pszenicy w snopach i ziarnie, zasługując sobie tem na uznanie krajowców. — To samo można powiedzieć o siewie żyta.

Siew owsa został zaniechany zupełnie. W Brazylii owies zastępują kukurydzą, więc nie było na niego zbytu; również zaniechano uprawę jęczmienia, część którego przerabiano na kaszę.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że koloniści przedewszystkiem uprawiają te rośliny, na które mają łatwy zbyt, lubo może mniejszą korzyść, to przyjdziemy do wniosku, że potrafili się zastosować do otoczenia i wymagań tamtejszych, a nawet jak wyżej powiedziano, dzięki swej niestrudzonej pracy, wyprzedzili inne narody na polu rolnictwa.

W Stanie Sao Paulo nasi koloniści uprawiają kawę, ryż i trzcinę cukrową. W Rio Grande sieją rośliny pastewne dla trzody, pszenicę i wyrabiają wódkę, cukier i smalec, którego sprzedaż stanowi jeden z główniejszych artykułów wywozu do północnych Stanów Brazylii.

W stanie St. Catharina na szeroką skalę wyrabiają masło na eksport oraz plantują tytoń, który skupują niemieccy eksporterzy, a następnie wysyłają go do Hamburga. W koloniach bliżej morza położonych wyrabiają wódkę i cukier.

Herva matę tak zwaną herbatę brazylijską (parańską) produkuje niemal wyłącznie stan Parana. Herbata ta sta-



Tartak parowy i drzewa piniorowe w Paranie.

nowi główny artykuł wywozu wzmiankowanego stanu i przyczynia się w znacznej mierze do dobrobytu naszych wychodźców. Drzewa *herva mate* rosną w dzikim stanie, są jednak także hodowane. Liście zlekka przypalone i drobno zmielone, dają powszechnie używany, jak u nas napój, herbatę. Herbata brazylijska według opinii największych powag lekarskich — jest najzdrowszym napojem codziennego użytku, uspokaja bowiem nerwy i gasi znakomicie pragnienie. Herbata ta ma być wprowadzoną do użytku armii austryackiej i przeprowadzone w tym kierunku próby dały zadawalniające wyniki.

Do przyrodniczych bogactw należą bez zaprzeczenia lasy, obfitujące w najróżnorodniejsze odmiany drzew użytecznych.

Najcenniejszym z drzew jest *pinior* pospolicie nazwany świerkiem parańskim, jedyne drzewo iglaste, rosnące w Brazylii. Wyrasta ono do wysokości 80 metrów, i ma w średnicy do 2 metrów a gotowane owoce służą do jedzenia — upieczone smakują podobnie jak kasztany tyrolskie, używają ich również do tuczenia nierogacizny. Świerk parański łupie się z łatwością i zawiera gumę aromatyczną mającą zastosowanie w medycynie i farbiarstwie. Kora gruba porowata, popiół jej po spaleniu zawiera wiele potażu, używa się do fabrykacyi mydła. Z sęków wytapiają smołę, a korzenie służą do robót tokarskich.

Domy i zabudowania gospodarcze, jakie budują sobie koloniści, i sprzęty domowe są zrobione wyłącznie z tego drzewa. Przemysł drzewny wskutek braku dogodnej komunikacyi nie rozwinął się należycie; jednakże w ostatnich czasach i na tem polu daje się zauważyć pewne zainteresowanie. Na kolonii St. Mateusza wybudowano jeden z pierwszych tartaków, — dzisiaj budowa tartaków idzie gorączkowo. Ostatniemi czasy polska firma Warchałowski i Neyman wybudowała wspaniały tartak parowy.

Wychodźca otrzymuje na spłatę od rządu brazylijskiego szmat ziemi około 40 morg, przeważnie pokryty gęstym lasem. Wskutek braku komunikacyi i nabywców drzewa są niemiłosiernie ogniem niszczone, by jaknajwiększy kawał ziemi pod uprawę otrzymać. Po niewczasie jednak osadnicy żałują swego czynu, gdyż są już obecnie stare kolonie niemieckie, gdzie lasów zupełnie niema.

Dawniej kolonistów nie osiedlano w stepach parańskich, lecz tylko na ziemi porosłej gęstym lasem. Uprawa rozpoczynała się od wycięcia podszycia, które po uschnięciu opadało. Po wycięciu drzew na pewnej przestrzeni, przeznaczonej do uprawy i po tychże uschnięciu, które trwa 4—6 tygodni podkładają ogień. W skruszonej przez ogień i pokrytej warstwą popiołu ziemi robi się wgłębienia, wrzuca się w nie ziarna i przygarnia nogą. Tak sadzono dawniej i obecnie sadzą fasolę czarną i kukurydzę.

Że korzyść z tak prowadzonego gospodarstwa jest wielką, zbytecznem dowodzić. Koloniści przy minimalnym nakładzie kapitału otrzymują procentowo taki zysk, o jakim w Europie rolnicy mogą tylko marzyć. Jednakże po kilku latach ziemia jest wycieńczona i chcąc podtrzymać jej wydajność, należy ją użyźniać, zastosować płodozmian i odtąd zaczyna się gospodarstwo kulturalne.







Polacy w Paranie, zgromadzeni przed kościołem.





Z teatru.

Gabryela Zapolska: Moralność pani Dulskiej.

Nie wiele sztuk doznało u nas tak żywego uznania, jak niewytworna, lecz efektowna farsa Zapolskiej p. t. „Moralność pani Dulskiej".

Pocieszmy się. We Lwowie grano ją pono 125 razy i robiła kasę.

Przysiądz by można, że dyrektor teatru, któryby był wystarczająco naiwny, by zechciał w przeciągu sezonu wystawić ze 125 razy prawdziwe dzieło sztuki — przysiądz by można, że taki fantasta zbankrutowałby z kretesem. Moralność pani Dulskiej jednak i podobne rzeczy zawsze znajdą swą publiczność.

Czemżeż to idzie? Och! bo Dulskich jest tylu, co ziarn piasku nad morzem i chociaż nie wszyscy są tak płascy, jak ci, których nam zaprezentowała Zapolska, to jednak ich estetyczny poziom zazwyczaj nie podnosi się ponad linię, nakreśloną ich etycznem kołtuństwem. Stąd to przerażające upodobanie rzeczy małych, znikomych, tandetnych.

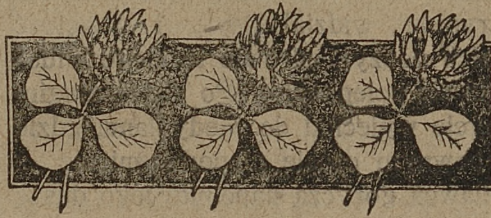
Nie ma być przez to powiedzianem, żeby farsa Zapolskiej była patentowaną tandetą kramarską. Rzecz ta, dzięki swej fakturze, dzięki zręcznej robocie, żeby się tak wyrazić zewnętrznej, usposabia nas pobłażliwie względem swych wad wewnętrznych, względem rażącej przesady i niekonsekwencyi lub zgoła zupełnego nieprawdopodobieństwa niektórych figur, względem braku wszelkiego ideowego pogłębienia tematu. Widz chętnie sobie przypomina, że to przecież tylko farsa, do której nie należy zbyt subtelnej przykładać miary, że to nie projekcya życia, rzucana na ekran z wyżyny wielkiej sztuki, lecz zręczna karykatura, rysowana przy stoliku kawiarnianym. Jako taka jest sztuka p. Zapolskiej lepsza od całego szeregu fars niemieckich i francuskich, a nawet od wielu wielce pretensyonalnych komedyj, stanowiących żelazny fundusz repertuaru teatralnego.

Nie wdawając się w streszczanie farsy p. Zapolskiej, zaznaczamy, że treść jej, a raczej niektóre epizody bardzo naturalistycznie, powiedzmy drastycznie uwydatniają romans młodego Dulskiego ze służącą Hanką. Romans ten i jego smutne skutki nie mają w sobie nic z sielanki. Jest to raczej gruba proza życiowa traktowana wcale nie dyskretnie.

Nie należymy do tych, którzy autorom przypisują, co należy, a czego nie należy na scenę wprowadzać. Owszem, scena, jako zwierciadło życia, może odtwarzać wszystko, co życie niesie. Powinna jednak pamiętać o tem, że pospolita trywialność nie ma nic ze sztuką wspólnego.

„Moralność pani Dulskiej" wystawiono bardzo starannie. Gra artystów najzupełniej zadowalała. Niektórzy, jak panie Zielińska, Sznagowa, Greczyńska, grali wprost znakomicie. Pani Sieniawskiej może nie zupełnie odpowiadała rola pani Dulskiej, lecz mimo to niczem nie raziła. Pan Czaki nawet z nieprawdopodobnej figury Dulskiego potrafił wybić kapitał. Również pan Kęcki (jak wogóle wszyscy) zrobił, co do niego należało. Całość wypadła bardzo ładnie. Kostyumy pań — o ile nie występowały w przepisanym grubym negliżu — a szczególniej piękne roby pani Sznagowej — budziły podziw.

R.



Kilka słów o Leopardim.

Sto dziesięć lat minęło od chwili, gdy ujrzał światło dzienne największy geniusz pesymizmu Giacomo (Joachim) Leopardi, urodzony w Recanati dnia 20 czerwca 1798 roku; rodzice jego hrabia Monaldo Leopardi i Adelajda z margrabiów Anticich, należeli do dawnej arystokracyi włoskiej; zaburzenia polityczne pozbawiły ich znacznego mienia przodków, z którego pozostały odłużony mająteczek wystarczył zaledwie na skromne utrzymanie rodziny, składającej się z rodziców i trojga dzieci: Karola, Giacoma i Pauliny, połączonych serdecznem przywiązaniem. Giacomo, od urodzenia słaby i wątły, był szczególnie pieszczony i kochany.

Bardzo szczupłe środki utrzymania nie dozwalały hrabiemu Leopardi wiele łożyć na kształcenie dzieci, jednakże sam zamiłowany w nauce, posiadał bogatą bibliotekę, a w niej skarby starożytnej cywilizacyi, którą zajmować się lubił.

Giacomo, obdarzony niezwykłą bystrością umysłu, niezmiernie szybko postępował w naukach. Sam, bez żadnej pomocy, nabył tak wielkiej wprawy w języku greckim, że władał nim z równą jak włoskim łatwością; najlepszym tego dowodem są dwie ody w tym języku napisane: „Do miłości" i „Do księżyca", uznane za autentyczne i jako takie do wiadomości publicznej podane przez filologów niemieckich. Trochę później Cesari uznał za starożytny i za takowy wydrukował tekst łaciński: „O życiu i męczeństwie pięćdziesięciu pięciu ojców kościoła", napisany przez Leopardiego.

Kiedy wyczerpał już nagromadzone w bibliotece ojcowskiej skarby literatury starożytnej, młody uczony z równą energią i zapałem zabrał się do studyowania języków współczesnych i znów bez niczyjej pomocy przyswoił sobie języki: francuski, hiszpański, niemiecki i angielski tak, że z wszelką swobodą mógł się posługiwać niemi, tak w mowie, jak w piśmie.

Dante i Szekspir stali się jego mistrzami; pełen mistycznej grozy i patryotycznych uniesień, włoski poeta jasno i zrozumiale przemawiał do duszy młodzieńczej, miotanej od lat najmłodszych aspiracyami uwolnienia z więzów najezdniczych ukochanej Italii, budzącej się z długiego odrętwienia. Każdy dzień nowe przynosił nadzieje lub posępne wieści o szlachetnych porywach i dążnościach, których nagrodą była śmierć haniebna, wygnanie lub więzienne katusze. Wtedy to w wyobraźni młodzieńczej kraj rodzinny przybierał postać dantejskiego piekła, w którem szatani pastwili się bezkarnie nad cnotą i poświęceniem. Przecudnej piękności sześć poezyi powstało wtedy; do tego cyklu zaliczyć wypada: „Do Italii", „Na pomnik Danta," „Do Angela Mai," „Do siostry w dzień ślubu", „Do zwycięzcy" i „Brutus młodszy". Jednym ż najpiękniejszych jest wiersz „do Italii."

Shakespeare roztoczył przed oczyma duszy poety całą potęgę uczuć serdecznych i zbrodniczych, czar miłości, bóle zawodu i zwątpienia, wieczny dramat życia ludzkiego. Ale potężny geniusz poety, zamknięty w biednem, schorzałem ciele, musiał żyć sam z sobą, z teoryi tylko znając to, czem młodość i siła darzy najpospolitsze istoty, okala urokiem najbiedniejsze warunki życiowe. Serce młodzieńcze domagało się jednak praw swoich, Leopardi kochał, ale w beznadziejnej miłości, wybuchał tylko gorzką skargą, dając cykl poezyj pełnych goryczy, w prześliczną ujętych formę.

Leopardi urodzony i wychowany dy, cierpienia, ale forma w którą je ujmował, była tak piękną, iż współcześni mówili o nim, że „rajską mową piekielne opisywał męczarnie."

Leonardi urodzony i wychowany wśród górzystej okolicy, bogatej w malownicze widoki, otoczony rodziną, miał serce otwarte dla uczuć

serdecznych, duszę wrażliwą na piękności natury, charakter łagodny marzyciela i uczonego; wiara, zaszczepiona przez tych, co prowadzili pierwsze wykształcenie, cechowała pierwotne jego utwory. Trwało to jednak zbyt krótko; niemoc i cierpienia fizyczne obudziły w nim straszną gorycz, jakoby poczucie wyrządzonej sobie ciężkiej krzywdy, niesprawiedliwości rządzącej światem. Szukał ukojenia w badaniach filozoficznych, trudnych do wyjaśnienia zagadnieniach przeznaczenia ludzi i narodów i tak zabił w sobie wiarę, stawiając na jej miejsce wątpliwość, a w końcu zupełny ateizm, do czego niemało przyczynił się stosunek przyjazny ze słynnym podówczas pisarzem Giordanim, o wiele starszym od Leopardiego. Posępna filozofia, podająca śmierć jako cel i wyzwolenie, mało znalazła adeptów wśród gorących synów południa, odczuwających zbyt silnie rozkosze życia, namiętną miłość i nienawiść; to też zachwycając się urokiem formy, nie przejmowano się zbytecznie treścią utworów Leopardiego. Filozofia nicości, pesymizmu i rozpaczy, by dojrzeć i stać się systemem, potrzebowała bladego nieba Germanii i ciężkich umysłów niemieckich uczonych.

Dzieła Leopardiego obiegały świat cały w oryginale i w tłomaczeniach, zaszczepiając mniej lub więcej smutku i zwątpienia w duszach czytelników, a w Niemczech posłużyły za podstawę filozofii Schopenhauera i Hartmana. Biedny Leopardi z sercem żywo odczuwającem cierpienia ludzkości, w miejsce pociechy i odwagi do życia, podał jej rozpacz i żądzę samobójstwa.

A jednak sam przyznaje w liście swoim do Pulcinnelliego, jak bezsilną jest jego filozofia (1 sierpnia 1827 roku): „Znużyło mnie życie, równie jak filozoficzna na wszystko obojętność, ta jedyna radykalna lekarka na nędzę i zawody życia ludzkiego, bo i ona tak samo nuży i zawodzi. Zamiary moje i nadzieje określić mogę jednym wyrazem: śmierć. I powiedz sam, czyż warto było zrujnować zdrowie w wyczerpującej pracy, aby w końcu do takiego dojść rezultatu!“

Do 34 roku życia Leopardi przebywał w swem rodzinnem gnieździe Recanati, cały oddany nauce, ale widząc gromadzące się w rękopismach obfite plony swej pracy, zapragnął szerszej dla swej działalności areny; doktorzy miejscowi radzili też zmianę zbyt ostrego dla jego chorych płuc powietrza, wyruszył tedy do Rzymu. Zdrowie polepszyło się znacznie i Leopardi z całym zapałem studyować zaczął dotykalne pamiątki tak ukochanej przez niego starożytności, pochłaniał skarby biblioteki Barberinich, poznał uczonych cudzoziemców, bawiących podówczas w Rzymie. Sławny Niebuhr głosił wszędzie wiedzę młodego uczonego, a nawet ofiarował mu katedrę uniwersytecką języka greckiego w Prusach, tej jednak przyjąć nie mógł Leopardi, gdyż organizm jego nie mógłby znieść ostrego klimatu. Pomimo uznania, jakiego nie skąpiono mu w Rzymie, nie mógł się o własnych dochodach utrzymać, a gdy ojciec odmówił mu pomocy, smutny i zniechęcony powrócił pod rodzinną strzechę, gdzie znów rozpoczął smutny żywot wśród pracy i cierpień moralnych i fizycznych. Drukarz i wydawca dzieł jego Stella powołał go do Medyolanu, ofiarując stały dochód dwudziestu skudów miesięcznie. Mając zapewnioną tę skromną sumkę, Leopardi po raz drugi opuścił Recanati, odwiedził Rzym, Bolonię, gdzie bardzo serdecznie przyjęty, zabawił dwa miesiące, poczem udał się do Florencyi, która była podówczas schronieniem wszystkich skompromitowanych politycznie; tu z zapałem przyjęty przez patryotów, widział sławę i wziętość swoich poezyj, zdrowie też jego widocznie się polepszyło. Po dość długim pobycie wyjechał do Medyolanu, gdzie po pewnym czasie nieporozumienie z wydawcą goryczą napełniło jego duszę i zmusiło do powrotu do domu, gdzie tak ciężko zapadł na zdrowiu, że zdawało się, iż nie przeżyje zimy; z wiosną jednak przybyło mu sił, a gdy nalegano na niego, aby się ratował, wyjechał do Rzymu, gdzie pobyt posłużył mu znakomicie, następnie do Florencyi, a nakoniec do Neapolu, gdzie zamieszkał w Capodimonte, gdzie z każdym dniem przybywało mu sił.

Nagle wybuchła cholera, i, rzecz dziwna, filozof-pesymista, tak często wzywający śmierci, jako wyzwolenia, obawiał się do tego stopnia epidemii, że co prędzej opuścił Capodimonte i nie powrócił aż w lutym, gdy cholera ustała zupełnie. Pobyt w górach rozwinął jego chorobę, a morskie powietrze słabą przynosiło mu ulgę. Na wiosnę wybuchła cholera, z nową grasując siłą. Leopardi jednak nie uległ jej wpływowi, a tylko nagle wodna puchlina zajęła serce w chwili, gdy układał plany nowej podróży. Zmarł 14-go czerwca 1837 roku. Zwłoki jego złożone zostały w podziemiach kościołka świętego Witalisa, na drodze wiodącej do Puzzuoli; tam to marmurowa tablica wmurowaną w przysionku, wskazuje miejsce wiecznego spoczynku jednego z najsmutniejszych i najzdolniejszych pisarzy z początku zeszłego stulecia.



Dział kobiecy.

Wojna sufrażystek.

Nie wszystkie kobiety są zwolenniczkami skrajnej emancypacyi. Te, które mają w życiu cel, posłannictwo, jako matki, wychowawczynie przyszłych pokoleń, obojętne są zupełnie na objawy wolnościowe. One wiedzą, bo tego im największy wróg nie zaprzeczy, że kobieta, z wykluczeniem siły fizycznej pod każdym względem stoi na równi z mężczyzną a nawet w życiu etycznem przerosła go o całą głowę, powodując się sercem i uczuciem, a nie rozumem. Rozumie to dobrze, że rzucając się nieprzygotowana należycie w odmęt polityki, zapędzi się i zamiast oczekiwanych rezultatów, zero osięgnie, a może nawet to co posiada stracić. Najlepszy dowód, jak też wygląda kobieta, kiedy pierwsze kroki dopiero na tym gruncie stawia, mamy na sufrażystkach w Anglii — przypatrzmy się im z bliska, biorąc pd uwagę nie tak dawne, bo zaledwie dwa miesiące odległe wypadki.

Na czele sufrażystek stojąca Mrs. Pankhurst, uważa drogę, jaką do tego czasu używały kobiety, to jest drogę delegacyi i petycyi za powolną, postanowiła użyć akcyi „rewolucyjnej.“ Zgrupowała więc w około siebie wielką ilość kobiet, mających wiele czasu i pieniędzy. Kiedy układy ze stronnictwem liberałów, które w zamian za pomoc przy wyborach obiecało poparcie pożądanej reformy po osiągnięciu przewagi w rządzie zobowiązan nie dotrzymało, sufrażystki postanowiły chwycić się bojowej taktyki zaburzeń i demonstracyi. Na mityngach, na których przemawiali posłowie antyfeministyczni, urządzały kocią muzykę a z galeryi Parlamentu rzucały na głowy przedstawicieli ludu papierki z napisami: „Żądamy równouprawnienia kobiet.“ Nie doczekawszy się żadnej wzmianki o sobie, przypuściły systematyczne szturmy do Parlamentu, obijając straż parasolkami i drapiąc paznokciami. Oczywiście siła fizyczna mężczyzn zwyciężyła. Płeć słabsza postanowiła użyć podstępu. Pewnego dnia zajechał przed boczną bramę Izby wóz do przewożenia mebli, napełniony po brzegi kobietami, straż nie widząc nic podejrzanego nie broniła wstępu, dopiero po wyładowaniu zawartości w kurytarzach Parlamentu zaszła drogę i siłą zmusiła do odwrotu.

Po udaremnionym dostępie do parlamentu, teren walki przeniósł się na ulicę; wygłaszano pod gołem niebem mówki, zwoływano wielkie mityngi,

zgromadzając dziesiątki tysięcy uczestniczek; tworząc olbrzymie pochody, demonstracye, niosąc sztandary z napisami „Głos dla kobiet.“ W Londynie nie było rogu, nie było parkanu, na którym hasła powyższego nie wypisano. Nic jednak sytuacyi nie polepsza. Sufrażystki więc urządzają przed Parlamentem kocią muzykę, dzwonią, krzyczą, wywołując zbiegowisko. Nie pomagają aresztowania, sufrażystki przekładają więzienie nad karę pieniężną. Przeszło 120 kobiet przesiedziało za kratami 433 tygodni, a między niemi obok robotnic znajdowały się przedstawicielki znamiennych rodów, a nawet córka zasłużonego przywódcy liberałów, siostra generała Wellingtona — Cobden-Sanderson, 74-letnia staruszka.

Aby jednak należycie ukarać stronnictwo liberałów, postanowiły sufrażystki przy wyborach dopełniających popierać konserwatystów, co też do pewnego stopnia kandydaci liberalni odczuwają.

Daremnie kobiety stojące po stronie rządu nawołują buntowniczki do ugody, daremnie dowodzą, że zwalczając stronnictwo liberalne, zwalczają w samem przez się wyznawany program reform socyalnych, zasadę wolnego handlu, ograniczenie wyszynku, a nawet po części sprawę własną, gdyż konserwatyści dają nader nieokreślone nadzieje, podczas gdy stojąca obecnie u steru większość liberalna już w roku zeszłym zdobyła się na ważny czyn, udzielając kobietom prawo wybieralności do instytucyi samorządnych a uchwaloną w roku bieżącym nowelę o równouprawnienie płci przekazano specyalnej komisyi. Sufrażystki nie wierzą jednak we wprowadzenie jej w życie, ponieważ rząd nie uznał ją za swoją i grożą nadal terorem, wylewając całą swą złość na premiera ministrów angielskich. — Niedawno też jedna z kobiet wybiła szyby w gabinecie u premiera H. H. Asquitha, wygrażając aresztującemu ją policyantowi, że w przyszłości pojawią się tu bomby. Tak postępują sufrażystki w Anglii, tu w Wielkopolsce kobiety nie solidaryzują się z niemi, i mają w tem wiele słuszności. Zdaniem naszych kobiet najlepsze wybicie się do równych praw, przyjdzie razem z podniesieniem ogółu, nie przez bicie parasolkami i drapanie, lecz przez naukę, przez dobre wychowanie pokoleń.



Pogadanka naukowa.

Gips.

Gips jest ciałem mineralnem, złożonem z wapna i siarki. Zazwyczaj widzimy gips w postaci białej mąki gipsowej, albo białej masy, z której robią różne ozdoby i figury. Taki gips otrzymuje się sztucznie. Gips surowy kopie się z pokładów gipsowych, leżących w głębi ziemi. Zwykle ma postać brył szarawo-żółtych, miękkich, nawpół przejrzystych, kruchych, łatwo łupiących się na blaszki z gładkiemi, połyskującemi ściankami.

Odłammy nożykiem blaszkę surowego gipsu i rzućmy ją do wody: tonie szybko, gdyż gips jest cięższy od wody. Drugi kawałek gipsu wrzućmy do wody i zagotujmy nad lampką. Pozornie zdawać się będzie, że gipsu nie ubyło, — że więc nie rozpuszcza się on w wodzie. Rzeczywiście rozpuszcza się gipsu bardzo niewiele, — ale jednak trochę się go rozpuszcza. Możemy się o tem łatwo przekonać, jeśli do doświadczenia wzięliśmy wodę miękką. Po zgotowaniu z kawałkami gipsu woda ta stanie się twardą, — nie będzie rozpuszczała w sobie mydła. Otóż woda, w której rozpuszczony jest gips, zowie się twardą. Taka woda jest niesmaczna, jakby słonawa, gorzkawa, do picia i gotowania nieprzydatna. Naprzykład grochu w wodzie twardej nie można ugotować. Ale za to woda, mająca w sobie gips, jest pożyteczną dla roślin, które gipsu potrzebują na pożywienie.

Szczególniej koniczyny pięknie rosną na gipsowanej ziemi. Znali to ludzie oddawna, ale nie wszyscy chcieli temu wierzyć. Między innymi opowiadają, że Benjamin Franklin, sławny obywatel i uczony amerykański, napróżno przekonywał swoich ziomków, jak zbawiennie wpływa gips na wzrost koniczyny. Wreszcie użył takiego sposobu: na polu swojem, w miejscu widocznem, zasiał koniczynę i na niej nieznacznie wysypał mąką gipsową napis: „Tu posypano gipsem“. Napisu tego oczywiście nie było znać; ale gdy wszystka koniczyna wyrosła, na miejscu, gdzie był gips, rozwinęła się tak bujnie, że była dwa razy wyższa, niż na całem polu — i wtedy wystąpił z tej koniczyny napis: „Tu posypano gipsem“.

Dziś każdy porządny rolnik wie, jak dobrze wpływa gips na koniczynę i bardzo wielu nie żałuje paru marek kosztu na gipsowanie.

Spróbujmy teraz, co stanie się z gipsem na ogniu. Kładę kawałek gipsu surowego do suchej próbówki i ogrzewam. Gips zaczyna trzaskać, bieleje, łupie się na blaszki, a jednocześnie na ściankach próbówki zbierają się kropelki wody. Skąd się tu wzięła woda? Oczywiście z gipsu; chociaż był on zupełnie suchy, ale w składzie swym miał wodę, która wydzieliła się przy ogrzewaniu. Gdy ten gips przepalony zmelemy na proszek, otrzymamy mąkę gipsową, czyli gips palony, jaki zwykle sprzedają w drogeryach. Nasypmy takiego gipsu palonego na talerz, dolejmy wody tak, jakbyśmy chcieli zagnieść miękkie ciasto na kluski, wymięszajmy dobrze patykiem i zostawmy w spokoju. Po kilku minutach owo ciasto gipsowe zacznie jakby schnąć, rozgrzeje się i stwardnieje na biały, dość twardy kamień. Możnaby myśleć, że gips stwardniał z powodu wyschnięcia, ale przyczyna jest inna. Woda tutaj nietylko nie ulotniła się — na co nawet nie miała czasu, — ale przeciwnie, złączyła się z gipsem palonym i dała z nim twarde ciasto.

Wyrzuciwszy to ciasto gipsowe ze spodka, przekonujemy się, że posiada ono zupełnie taką postać, jak wewnętrzna powierzchnia spodka; a to dlatego, że gips dokładnie wypełnia naczynie, w którem się znajduje. Z tej właściwości ciasta gipsowego korzystają ludzie, żeby robić odlewy gipsowe.

W kościołach i ozdobnych mieszkaniach widzieć można często na pułapie lub ścianach piękne ozdoby, gzymsy, wierzchołki słupów, jak gdyby ręką wyrzeźbione. Nie są one jednak rzeźbione, lecz odlane z gipsu. Dla zrobienia odlewu gipsowego, bierze się forma wklęsła przedmiotu, który chcemy odlać, smaruje się ją tłuszczem, np. oliwą i napełnia ciastem gipsowem świeżo zrobionem. Po stwardnieniu, odejmuje się gips od formy — i odlew gotowy. Mając naprzykład formę wklęsłą Matki Boskiej, robią gipsowy odlew Matki Boskiej; z wklęsłej formy przedstawiającej podobiznę Kraszewskiego, Mickiewicza, Kościuszki i innych sławnych mężów, robią ich odlewy. Z jednej formy można robić setki odlewów gipsowych — i dla tego są one bardzo tanie.

Można robić nawet odlewy z twarzy ludzi żyjących lub nieboszczyków. W tym celu smarują twarz człowieka mocno oliwą i nakładają równo ciasta gipsowego. Po stwardnieniu otrzymuje się wklęsłą formę, jakby pieczątkę wklęsłą twarzy człowieka. Gdy forma gipsowa wklęsła zupełnie stwardnieje, smaruje się ją oliwą i nalewa do niej znowu ciasta gipsowego. Po wyjęciu z formy, będziemy mieli wypukły odlew, przedstawiający dokładną podobiznę owego człowieka. W ten sposób robią maski pośmiertne sławnych ludzi.

Często sprzedają gipsowe medale, popiersia i całe figury Matki Boskiej, Świętych Pańskich, albo sławnych ludzi, np. Sobieskiego, Staszyca, Pola. Medale odlewają się w formach wklęsłych, pojedyńczych. Popiersia i całe figury odlewają się w formach podwójnych składanych, z których jedna przedstawia przednią, a druga tylną połowę figury, albo jedna prawą stronę, a druga — lewą. Po zrobieniu obu form, składa się je, zostawiając szparę do nalania gipsu. Nalawszy gipsu, odejmujemy obie połówki formy — i odlew wypukły gotowy.

Kto ma czas i ochotę, może sam robić sobie formy wklęsłe gipsowe różnych medali i z nich potem otrzymywać odlewy. Przy robieniu formy gipsowej trzeba pamiętać, żeby dokoła medalu zrobić szczelnie przystający brzeżek, dla zatrzymania gipsu; przed nalewaniem zaś gipsu medal, czy forma powinny być dobrze wysmarowane oliwą, bo inaczej gips tak przystaje, że potem oderwać go nie można.

Ciasta gipsowego używa się jeszcze do tak zwanych opatrunków gipsowych przy złamaniu kości, ręki lub nogi. Części złamanej kości, np. ręki, doktór dokładnie napowrót zestawia, a potem owija rękę opaską płócienną i oblewa dokoła gipsem. Gips twardnieje i utrzymuje części kości na miejscu, przez co łatwiej się zrastają.

Ciasto gipsowe czyli gips palony często służy do fałszowania mąki i mączki czyli krochmalu, używa go się także przy fabrykacyi papieru dla nadania mu białości i ciężkości, wreszcie do klarowania wina.

Odmianą gipsu jest alabaster — barwy białej lub różowej, służący również na odlewy i rzeźby.

Ogrodnictwo.

* **Śrem.** W niedzielę, 23-go sierpnia, odbyła się wycieczka Tow. ogrodniczego śremskiego do Gorzyczek. Na stacyi Szołdry czekała nas powózka z Gorzyczek, która nas na miejsce przeznaczenia zawiozła, gdzie nas powitali miejscowy ogrodnik p. Poszwa, oraz p. Marciniec prezes Poznańskiego Tow. ogrodniczego, który raczył swą osobą zaszczycić naszą wycieczkę, jako i kilku kolegów z Kościańskiego. Nie chcąc się z zwyczajami Tow. mijać postanowiono odbyć wpierw zebranie, a potem zwiedzić park, ogród, inspekta i t. d. To też udaliśmy się do stołu, w cieniu drzew w bezpośredniej bliskości pałacu ustawionego, gdzie p. Grabowski prezes zebranie zagaił, witając członków tudzież gości z Kościańskiego. Pan Grabowski zdaje przewodnictwo w ręce p. Marcińca z Poznania, tenże dziękując za zaufanie prosi sekretarza o przeczytanie protokółu, który po przeczytaniu przyjęty został. Pan Marciniec nawiązując do niniejszej wycieczki, zarzuca Tow. naszemu samolubstwo, ponieważ urządzając wycieczki nie zapraszamy na takowe inne Tow. ogrodnicze. Na to odpowiedział p. Grabowski, iż Tow. nasze jako czysto zawodowe powzięło uchwałę nie łączyć się z Tow. ogrodniczemi mającemi w gronie swych członków także niezawodowców w charakterze przyjaciół vel lubowników ogrodnictwa. Mimo tego, zaznacza p. G. wyraźnie, iż **kolega**, członek każdego Tow., jest na naszych tak zebraniach jak wycieczkach mile widziany.

W sprawie projektowanej wystawy toczyła się ożywiona dyskusya, i uchwalano urządzić takową w przyszłym roku. Po załatwieniu kilku jeszcze drobniejszych spraw zamyka p. Marciniec krótkie to zebranie. Za umiejętne i spokojne prowadzenie zebrania dziękuje panu Marcińcowi p. Grabowski, do czego i członkowie się dołączają.

Wypiwszy kawę przysłaną nam łaskawie ku pokrzepieniu przez dziedziczkę JWPanią Horwatową i pogawędziwszy cokolwiek udaliśmy się do parku, niedużego wprawdzie, lecz pięknego w całem znaczeniu wyrazu. Zwłaszcza klomby kobiercowe, kwietniki wzorowo założone i świetnie utrzymane biją w oczy. Widać, że JW. Pani Horwatowa kocha się w kwiatach i łoży na takowe; bo rzeczywiście, aby tak obszerne miejsca zasadzić Begoniami, Alternautherami, Echeveriami, Colensami i t. d. potrzeba setek tysięcy wysadków; sam herb rodowy spotrzebował kilka tysięcy. Pięknie się przedstawiają klomby kobiercowe i rabata zajezdna wysadzona setkami paciorecznikow (Canna Crozy) ciemmnemi i zielonemi na przemian, widziane z pod kolumn pałacowych misternie dzikiem winem oplecionych.

Z parku poszliśmy do inspektów; tu można było znów widzieć zabiegliwość ogrodnika miejscowego, oraz zamiłowanie JWP. dziedziczki do piękna. Były tam pełne okna Cyclamenów, Cinesarii, Primulek, Dracen, Asparagusów i t. d. Pod kulą cienistą stały piękne okazy Arancarii, Camelii, Azalii. Do dwóch już stojących oddziałów oranżeryi dobudowano w bieżącym roku jeszcze dwa. Ztąd przeszliśmy do warzywnika i sadu, zastając wszędzie wzorowy porządek. Wino niestety przez mącznia (Sphaerothera morsuae) prawie zniszczone. W szkółce mogliśmy podziwiać piękne okazy czereśni. W każdym zakątku ogrodu w Gorzyczkach przebija wzorowy porządek; co się kładzie na karb zabiegliwości ogrodnika miejscowego, przedewszystkiem zaś zamiłowania J. W. P. dziedziczki. Życzyćby sobie tylko można, by takich dziedziców więcej się znalazło w naszem społeczeństwie, a nie byłoby tak często powtarzającego się obustronnego niezadowolenia. Nadmienić jeszcze muszę, że choć JW. Pani Horwatowa hojnie nas podejmowała przy zastawionym w cieniu drzew stole, nie mogła pominąć, by nas nie zaprosić do pałacu w celu usłyszenia krytyki, bez której się nie obyło, na co za otwartość zdań odpowiedziała hasłem na cześć ogrodnictwa; zebrani znów wypili za zdrowie i pomyślność J. W. Pani dziedziczki. Poczem powróciliśmy do suto zastawionego stołu na kolacyę, a pokrzepiwszy się, rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę.

St. Olszewski.
sekretarz.

Nowe książki i treść pism.

* **Księgi kupiectwa i przemysłu polskiego w W. Ks. Poznańskiem** — wyszedł staraniem i nakładem „Straży“ zeszyt I, II i III, zawierające powiaty: kępiński, odolanowski, ostrowski, ostrzeszowski, jarociński, koźmiński, krotoszyński, pleszewski, gostyński, leszczyński, rawicki, wschowski. Dalsze zeszyty oraz księga zbiorowa ukażą się do 15 p. m. Każdy zeszyt poprzedza wstęp, zawierający artykuły: „Swój do swego“. Rys urządzeń państwowych w W. Ks. Poznańskiem. Rozwój naszych stosunków ekonomicznych pod zaborem pruskim w latach ostatnich. Cena poszczególnego zeszytu wynosi 25 fen., całej księgi 3 mk. Zamówienia przyjmują wszystkie księgarnie polskie oraz biuro „Straży“. Adres: Dr. Tad. Jaworski Poznań—Posen. Na koszty opakowania i wysyłki zeszytu uprasza się o załączenie 10 fen., całej księgi 40 fen.

K. K. i P. P. jest pierwszem tego rodzaju dziełem, którego domagało się całe społeczeństwo w kraju i za granicami. Podjęte z niezmiernym trudem wykończone zostało z wielkim nakładem pracy i starań. Zawiera tu i owdzie małe usterki, które łatwo usuną przyszłe nakłady, jednakże jako całość jest znakomite i uwieczni przysługę „Straży“, oddaną całemu polskiemu społeczeństwu.

NASZE RYCINY.

Na ziemską ojczyznę

przynosi anioł stróż z nieba dziecię, wskazując mu ręką jego przyszłą siedzibę. Słońce wschodzi i różowi swym blaskiem ziemię, która na przybycie dzieciny przywdziała się w szatę majową. Oto treść naszej pięknej, fantastycznej, albumowej ryciny.

Wiec „Straży“

odbędzie się w Czempiniu, w niedzielę dnia 27 bm. o godz. 12 po nabożeństwie na sali p. Szukalskiego. Na wiecu przemawiać będzie p. Dr. Jaworski z Poznania, który równocześnie przedstawi plan nowej organizacyi „Straży.“ O liczny udział rodaków i rodaczek prosi

Starosta „Straży“
B. Dąbrowski.